odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

HONOROWA ODZNAKA M. ŁÓDZI

Rok VI.
Łódź, 30. VI. 63.
Nr 26 (278)
Cena zł 1.—

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

I znowu mija ROK

Na oficjalne, urzędowe sprawozdanie jeszcze za wcześnie. Ostateczne wyniki promocji, egzaminów wstępnych, poprawkowych, będą znane dopiero we wrześniu. Można jednak i chyba należy ocenić ten kończący się łódzki rok szkolny 1962/63 i na podstawie tej oceny wysunąć zadania dla nadchodzącego nowego roku 1963/64.

W dziedzinie sprawności nauczania można już dziś bez większego ryzyka na podstawie choćby wyników okresowych stwierdzić, że zarówno szkoły podstawowe jak i średnie ogólnokształcące a szczególnie zawodowe osiągną wyraźną poprawę. Jest to chyba rezultat poprawy warunków lokalowych szkół, wyposażenia i rzecz najważniejsza — lepszej pracy samych nauczycieli.

I tak na przykład łódzkie dzieci w tym roku szkolnym otrzymały: 2 przedszkola (przy ul. Piotrkowskiej 42 i na Osiedlu Kurak), 3 szkoły podstawowe (przy ul. Jaskrowej, Rąbieńskiej i Skrzywana), młodzież: 1 gmach dla liceum (przy ul. Obornickiej), 4 — dla szkół zawodowych (przy ul. Dziewanny, Inflanckiej, E. Plater, Cieszyńskiej), rozbudowane licea przy ul. Targowej i Rudzkiej.

Poważny wpływ na dalszą poprawę warunków nauczania miało przeprowadzenie kapitalnych remontów w 165 placówkach kosztem 30,5 mln zł (40,7 proc. więcej niż w r. ub.) i poważne zwiększenie (o 35 proc. w stosunku do r. ub.) nakładów na zakup pomocy naukowych, inwentarza oraz uzupełnienie wyposażenia. Główny nacisk położono na zaopatrzenie pracowni technicznych w narzędzia, warsztaty, maszyny do szycia. Ze względu na bezpieczeństwo dzieci i młodzieży wydano polecenie wycofania ze szkół ogólnokształcących maszyn i narzędzi typu produkcyjnego. We wszystkich szkołach opracowano perspektywiczne plany kompletnego doposażenia szkół. Plany te łącznie z potrzebami w dziedzinie zaopatrzenia szkół w materiały i surowce do zajęć technicznych są realizowane w ścisłym współdziałaniu z „Cezasem" i Wydziałem Handlu Prez. R. N. Realizacja ta dokonuje się w dużej mierze w oparciu o produkcję warsztatów szkół zawodowych.

Zagadnienie kadry nastręczało i nastręcza w dalszym ciągu dużo kłopotów, zwłaszcza w przedszkolach, szkołach średnich, domach dziecka i w szkolnictwie specjalnym. I tak np. w szkołach średnich brak 35 fizyków, 30 rusycystów i 27 matematyków. Braki te „załatano" częściowo godzinami nadliczbowymi, częściowo — nauczycielami dochodzącymi (głównie inżynierami). Niepokojący jest jednak odpływ kadr wykwalifikowanych ze szkolnictwa zawodowego do przemysłu. Powstawanie nowych zakładów przemysłowych w Łodzi oraz potężnego kombinatu w rejonie Bełchatowa stwarza dla nich bardziej ponętne warunki niż te, które zaoferować może szkolnictwo. Dla zabezpieczenia liczby nauczycieli przedmiotów zawodowych Kuratorium zwróciło się o pomoc do Zjednoczeń i większych zakładów.

Dalszy ciąg na str. 2

KAROL BADLIAK

Upiór KAMIENICY

Ta kamienica stoi zaledwie o kilka kroków od redakcji, w centrum Łodzi, w sercu miasta. Nie minął rok jak pisałem o niej artykuł pt.: „Zły duch kamienicy". Potraktowałem rzecz nieco żartobliwie. Pisałem wówczas: „Niech nas nie zwiedzie jednak jej pryncypalne położenie, ani też secesyjne obramowanie jej fasady frymuśnymi gzymsikami, ornamentami i amorkami. Za tą fasadą ukrywają się bowiem pokrętne, drewniane schody i nie mniej pokrętne dylematy 75 rodzin tam zamieszkałych. Przewodzi im zły duch w papilotach, ten najgorszy z duchów, którego patronem jest pani Dulska, kuzynką — plotka, a powinowatą — intryga".

I oto pojawił się natychmiast w redakcji pewien jegomość — o fizjonomii statystycznego, niższego urzędnika, model pedetowy 1955, maniery kwakierskie, charakter zajadły, w oczach fanatyczny błysk — i zażądał sprostowania na piśmie oraz ogłoszenia publicznie w prasie następującego tekstu:

„Redaktor (niby ja) powołując się na p. Dulską nie miał na myśli pani C".

Wszelki duch Pana Boga chwali! Nie wiedziałem co z tym fantem zrobić. Zapolska, niestety, już nie żyje, jej duch błądzi gdzieś w zaświatach, a tu zjawia się przede mną jakiś sługa Boży i żąda rozliczenia z długów, które ta złośliwa kobieta popełniła na ziemi. Ani myślałem nadstawiać plecy za autorkę „Moralności pani Dulskiej".

Potem wyjaśniło się, że od momentu ukazania się mego felietonu na drzwiach pani C. dzieci zaczęły wypisywać „Dulska". Pani C. wysłała więc do redakcji swego zausznika, by wytłumaczył wszystkim, że pani C. nie jest panią D.

— Ciemnota światłych ludzi za nos w tym domu wodzi — powiedział mi starszy dzielnicowy MO. I trafił w sedno rzeczy, bo choć w domu tym mieszka pełnomocnik pewnego ministra oraz prokurator Wojewódzkiej Prokuratury, adwokat, personalny, pięciu nauczycieli, kilkunastu średnich urzędników większych instytucji, źle się tam dzieje i duch obywatelski, patriotyczny, społecznikowski wyprowadził się stamtąd na sąsiednią ulicę. A może po prostu z owymi mieszkańcami zajmującymi tak odpowiedzialne stanowiska przeniósł się na tereny instytucji, w których oni pracują? Bóg raczy wiedzieć.

W kamienicy tej rzeczywiście mieszka kobieta samotna, emerytka, która kocha psy, a nienawidzi dzieci lokatorów, kobieta swarliwa, kłótliwa, taka,

Dalszy ciąg na str. 4

Łódź w jakiej żyjemy

CAF — Fot. Seko

FELIKS BĄBOL

PRAWDA O NASZYCH KOBIETACH

Tego dnia gazety donosiły, że Walentyna Tierieszkowa czuje się dobrze na orbicie. Tego dnia również pisano, że pewna kobieta przyjechała aż znad morza na imieniny do Łodzi i w tym mieście — po wypiciu kilku kieliszków wódki sporządzonej ze spirytusu metylowego — znalazła śmierć.

Właśnie tego dnia zebrało się w Łodzi 200 kobiet z całego kraju, aby radzić o swej sytuacji i swej przyszłości w świecie, na którym żyjemy. Na którym możliwa jest i skrajna ciemnota zmuszająca ludzi do picia zatrutego spirytusu i wysokie poczucie własnych życiowych ambicji i pracy nad sobą urzeczywistnione w locie kobiety ku gwiazdom.

Radziły u „Marchlewskiego", gdzie kobiet pracuje aż 5.000. Jedna z nich na uliczce prowadzącej do sali ze stołem prezydialnym, zbierała małe zwijki przędzy bawełnianej, które z hal wydmuchują wentylatory — zbiera-

Dalszy ciąg na str. 6

I ZNOWU MIJA ROK

Dalszy ciąg ze str. 1

Przygotowuje się otwarcie Studium Nauczycielskiego Zawodowego (kierunki: mechaniczny, elektryczny i włókienniczy), kształcącego nauczycieli przedmiotów zawodowych w zasadniczych szkołach zawodowych i Technikum Przemysłowo-Pedagogiczne (kierunki — jak poprzednio plus — budowlany) kształcące nauczycieli zawodu dla tychże szkół. Ponieważ Uniwersytet Łódzki w najbliższych latach nie będzie mógł zaspokoić potrzeb szkolnictwa średniego w niektórych specjalnościach — Kuratorium wszczęło starania o otwarcie w Łodzi punktów konsultacyjnych WSP w Katowicach (kierunki — fizyka i wych. techniczne) dla absolwentów Studiów Nauczycielskich. Istniejące dwa Studia Nauczycielskie zabezpieczają w zupełności dopływ kwalifikowanych nauczycieli dla szkół podstawowych łódzkich a nawet w zakresie niektórych specjalności (opieka nad dzieckiem, śpiew z muzyką i in.) przygotowują nauczycieli i wychowawców również dla innych województw. Kuratorium, współpracując ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, przygotowało plan dokształcania nauczycieli, którego realizację już rozpoczęto. Przed końcem roku szkolnego 1969/70 wszyscy nauczyciele szkół podstawowych w Łodzi będą mieli co najmniej wykształcenie w zakresie SN, a nauczyciele zawodu i przedmiotów zawodowych właściwe przygotowanie pedagogiczne.

W minionym roku szkolnym dokonano w szkolnictwie łódzkim pewnych zmian na stanowiskach kierowniczych w szkołach i placówkach wychowawczych wszystkich typów.

W niektórych wypadkach odeszli na własną prośbę zasłużeni ale sterani wiekiem i pracą pedagodzy. Uczniowie i rodzice, nauczycielstwo i całe społeczeństwo łódzkie żegna ich z należytym szacunkiem.

Z administracji szkolnej na skutek reorganizacji i decentralizacji odeszło 15 pracowników pedagogicznych Kuratorium i 13 z inspektoratów oraz pewna liczba pracowników administracyjnych.

W nowej strukturze organizacyjnej poważnie wzrosła ranga inspektoratów oświaty. I tak z dniem 1 lipca 1962 r. Kuratorium przekazało inspektorom: licea ogólnokształcące (młodzieżowe i dla pracujących), szkoły specjalne, domy dziecka i obozy młodzieżowe, inspektoraty przejęły również przedszkola zakładowe.

Nowe zadania powodujące poważne zmniejszenie liczby pracowników Kuratorium, a minimalne ich zwiększenie w inspektoratach, stawiają pracowników nadzoru pedagogicznego w obliczu poważnych trudności. W tej sytuacji Kuratorium czuło się w obowiązku przyjścia inspektorom z pomocą, zwłaszcza wobec trudności w obsadzeniu wakatów. Niestety, nie są to stanowiska atrakcyjne.

Mimo tych ogromnie absorbujących prac głównie organizacyjnej natury — obok stwierdzonej już poprawy efektywności nauczania podjęto szereg inicjatyw w dziedzinie wzmocnienia wychowawczego oddziaływania szkoły.

W niektórych sprawach rezultaty widoczne są już dziś, w innych, wymagających dłuższej pracy, trzeba będzie jeszcze poczekać na pożądane skutki.

I tak opieką przedszkolną objęto 31,5 proc. ogółu dzieci łódzkich (wobec 28 proc. w roku ub.). Ponieważ jednak nadal około 4.000 dzieci nie znajduje miejsc w przedszkolach, władze szkolne wspólnie z organizacjami (TPD, LK, WKZZ) próbowały organizować przedszkola społeczne na zasadach pełnej odpłatności w świetlicach związkowych, blokowych wzgl. w szkołach. Akcja ta nie dała jednak poważniejszych rezultatów, być może skutkiem tego, że przystąpiono do niej w środku roku szkolnego.

W bieżącym roku z inicjatywy Kuratorium przeprowadzono zreformowaną i wcześniejszą akcję zapisów dzieci do klas I. Objęto nią ponad połowę dzieci rocznika 1956. Zapisy te, przeprowadzone już w miesiącach luty-marzec, połączone z badaniami lekarskimi i psychologicznymi pozwoliły wyłowić spośród około 7 tys. kandydatów do kl. I 580 dzieci które nie osiągnęły tzw. „dojrzałości szkolnej". Są to naj częściej dzieci pozbawione właściwej opieki w domu, dzieci „zahukane", lub chorowite. Są one obecnie pod opieką 39 ognisk przedszkolnych przygotowawczych, a w czasie wakacji umieści się je na półkoloniach przedszkolnych. Jesteśmy przekonani, że dzięki tej opiece w dniu 1 września pójdą one do szkoły na prawach równego startu z innymi. W przeciwnym wypadku już od I klasy szkoły podstawowej wlokłyby z sobą dokuczliwy balast poczucia niższości, niedociągania do poziomu „normalnych" dzieci. W akcji owych wcześniejszych zapisów wzięli udział obok lekarzy szkolnych, wychowawczyń przedszkoli, nauczycieli klas I, psychologowie z Poradni Wychowawczych TPD, za co należy się im chyba szczególna wdzięczność. Po przeprowadzonych zapisach inspektoraty zorganizowały zebrania rodziców, w czasie których wysłuchali oni pogadanek lekarza, pedagoga oraz obejrzeli odpowiednio dobrane krótkometrażowe filmy. Akcję wcześniejszych zapisów i „wyrównawczych" przedszkoli bodaj pierwszą w kraju, należy uznać jako bardzo wartościową społecznie, godną kontynuowania w latach przyszłych.

Z innych form opieki nad dzieckiem warto wspomnieć o świetlicach szkolnych istniejących przy 151 szkołach obejmujących 14.685 dzieci (wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim o 12,7 proc.). W oparciu o świetlice szkolne zorganizowano — wychodząc naprzeciw społecznej potrzebie — 9 półinternatów obejmując całodzienną opieką 250 dzieci, które tej opieki najbardziej potrzebują. Akcja ta, również pionierska w kraju, acz bez pełnych podstaw formalnych podjęta, cieszy się uznaniem Rady Narodowej, Sądu dla Nieletnich i Milicji Obywatelskiej, które współdziałając z władzami szkolnymi widzą (i słusznie!) w przedłużeniu dnia szkolnego b. właściwą drogę zapobiegającą przestępczości nieletnich. Tą akcją zainteresowało się również Min. Oświaty), które w oparciu o nasze doświadczenia wyda odpowiednie przepisy ustalające zasady prowadzenia i finansowania półinternatów. W nadchodzącym roku szkolnym Kuratorium ma zamiar objąć tą formą opieki 950 dzieci w 28 placówkach.

Liczba dzieci dożywianych w szkołach wzrosła (do 15 proc.). W przyszłym roku planuje się objąć dożywianiem 25 proc. dzieci.

W akcji wczasów warto podkreślić nienotowany rozmach w organizacji i przeprowadzeniu wczasów zimowych z dużym udziałem organizacji społecznych, harcerstwa i ZMS. Wczasy letnie mimo niespodziewanych trudności (likwidacja trzeciego turnusu wobec przedłużenia roku szkolnego wskutek zawieszenia zajęć lekcyjnych w czasie mrozów) obejmą ostatecznie nawet nieco większą liczbę dzieci i młodzieży niż w latach ubiegłych.

W dziedzinie wychowania fizycznego i sportu konsekwentnie odchodzimy od kultu wyczynu i wyczynowców na rzecz uprawiania sportu przez jak najszersze rzesze dzieci i młodzieży. Przejawia się to również w trosce o należyte wyposażenie szkół w odpowiednie urządzenia i propagowanie szerokiej akcji budowy boisk szkolnych z uwzględnieniem społecznej pracy rodziców i samej młodzieży przy finansowej i dokumentacyjnej pomocy ŁKKFiT.

Zwraca się szczególną uwagę na higieniczne warunki pracy ucznia i nauczyciela w szkole. Trzeba stwierdzić, że w tej dziedzinie jest jeszcze wiele do zrobienia.

W sprawie wychowania estetycznego niewątpliwie uczyniono dalszy krok naprzód. Jest to obok celowego i konsekwentnego działania władz szkolnych i Ośrodka Metodycznego głównie zasługą z roku na rok liczniejszej kadry specjalistów — absolwentów SN. Ci młodzi ludzie wnoszą do szkół dużo zapału, inwencji i pomysłowości. Potwierdzeniem tego były lokalne-szkolne i dzielnicowe wystawy prac uczniowskich oraz wysoki poziom chórów szkolnych, zademonstrowany w zorganizowanym przeglądzie.

Liczniejszy niż kiedykolwiek dotąd udział młodzieży szkolnej w Konkursie Recytatorskim i osiągnięte nawet w skali ogólnokrajowej, wyniki zasługują również na podkreślenie. Uderzał szczególnie liczny udział młodzieży ze ze szkół zawodowych.

Generalna działalność Kuratorium w kierunku rozwijania maksymalnej aktywności ucznia nie tylko w procesie dydaktycznym ale również w wychowaniu daje pewne rezultaty; przejawia się to choćby w coraz żywszej działalności szkolnych drużyn harcerskich, kół ZMS, samorządów, Spółdzielni Uczniowskich, SKS-ów, Młodzieżowej Służby Ruchu, Kół Turystyczno-Krajoznawczych i innych form samorządnej pracy młodzieży.

W jakimś stopniu sprzyja również tej sprawie nowy Regulamin Uczniowski opracowany z inicjatywy Kuratorium. Niemniej jest w tej mierze jeszcze dużo do zrobienia.

Przed szkolnictwem łódzkim stoją poważne zadania ściślejszego związania go ze środowiskiem: zarówno pod względem organizacyjnym, choćby z uwagi na zmieniający się w szybkim tempie geograficzny kształt tego miasta, jak i na jego treść — odchodzenie (bynajmniej nie tak powolne) od charakteru włókienniczego do — miast o bardzo różnorodnym przemyśle i szybko rosnącej w liczbę młodej inteligencji, naukowej i twórczej.

To zobowiązuje, by inicjować śmiałe, twórcze poszukiwania kształtu i treści nowej, polskiej i socjalistycznej szkoły.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

STEFAN BALCZAREK

„Prawo ma charakter klasowy — mówi przewodniczący V Wydziału Karnego — stoi na straży interesów określonej formacji społeczno-ekonomicznej i z takiego charakteru prawa wynikają istotne konsekwencje dla pracowników sądownictwa. Każdy sędzia stoi na straży obecnego porządku i dlatego każdy z nas posiadać musi należytą orientację społeczno-polityczną, bez tego nie może sprawować dobrze funkcji, która mu powierzono. Funkcja sędziego jest funkcją polityczną.

Wybrałem zawód sędziego już w czasie okupacji. Chciałem wymierzać sprawiedliwość. Mam unikalny dziś dokument, odbite na powielaczu świadectwo stwierdzające ukończenie konspiracyjnego kursu gimnazjalnego. W 1945 roku zacząłem w Łodzi studia na wydziale prawno-ekonomicznym. Byłem jednym z pierwszych studentów Łódzkiego Uniwersytetu. Na naszym roku było wtedy kilkuset studentów i pamiętam, że z trudem mieściliśmy się w wielkiej przecież sali nr 1 w gmachu Sądu". W ciągu trzech zaledwie lat pan sędzia Balczarek przeszedł wszystkie trzy stopnie zawodu sędziowskiego. Był aplikantem, asesorem, wreszcie sędzią powiatowym. W 1953 roku osiągnął już tytuł sędziego wojewódzkiego. „Były to lata, gdy gwałtownie uzupełniać trzeba było kadry. Dziś tak szybki awans jest już nie do pomyślenia. W najlepszym razie dopiero po trzech latach zostać można sędzią powiatowym. Studia, nie chcę podważać ich wagi, dają tylko wiedzę teoretyczną, którą absolwent z dużym trudem uczy się dopiero wykorzystywać w sądzie. Długo odczuwałem braki w swoim przygotowaniu do zawodu ze względu na skrócony okres aplikacji. W naszym zawodzie nie wystarcza tylko znajomość prawa, trzeba też to prawo umieć stosować, a to wymaga wieloletniej praktyki. Sędzia wymierzając karę, pozbawia człowieka tego, co jest prawdopodobnie najdroższe — wolności. To też świadczy o stopniu odpowiedzialności funkcji sędziego. Sędzia rozstrzygający sprawę karną może wydać wyrok skazujący tylko wówczas, gdy w oparciu o zebrane dowody nabierze pełnego przekonania o winie oskarżonego. W przeciwnym razie musi wydać wyrok uniewinniający. Obowiązki sędziego nie kończą się na ustaleniu winy oskarżonego. Sędzia musi wymierzyć karę, a więc musi ustalić pobudki działania, okoliczności czynu i jego skutki. Wnikliwe rozważenie tych wszystkich problemów daje sędziemu dopiero obraz rozstrzyganego przypadku i umożliwia wymierzenie właściwej kary. Trzeba myśleć także o wychowawczej roli kary zarówno wobec sprawcy jak i wobec społeczeństwa.

Sędzia rozporządza przepisem, podającym karę w wysokości od — do. Przykładowo: za zabójstwo oskarżonemu wymierzyć można karę od pół roku więzienia do kary śmierci. Kiedyś skazałem zabójcę na półtora roku więzienia. Tak kwalifikowały tę sprawę okoliczności, które doprowadziły do popełnienia zbrodni. Skazany uzyskał potem, po prośbie skierowanej do Rady Państwa, zawieszenie wykonania kary.

Oczywiście, szczególnie w procesach o morderstwo, nie zawsze daje się wyjaśnić do końca to, co nazywamy „okolicznościami sprawy". Doty-

Dalszy ciąg na str. 12

TADEUSZ PAPIER

ZAPISKI „CZŁOWIEKA POCZCIWEGO"

Redaktorze, zaczynam zwierzenia od 19 czerwca, środy. Tego dnia kosmonauci radzieccy, „sławna córka narodu radzieckiego" Walentyna Tierieszkowa i Walery Bykowski zakończyli wyprawę poza Ziemię i wylądowali w rejonie Karagandy; tego dnia w Rzymie rozpoczęło się konklawe obradujące nad wyborem nowego papieża; tego również dnia prasa opublikowała obszerne streszczenie referatu tow. Iljiczewa o pracy ideologicznej partii, wygłoszonego w Moskwie na Plenum KC KPZR. Tego dnia wydarzyło się na świecie i w Polsce wiele innych ważnych faktów, lecz te, o których wspomniałem, sądzę, były najbardziej godne uwagi. Gdybym pisał pamiętnik, do czego wy mnie, redaktorze, nakłaniacie, i jeślibym nawet nie miał osobistych motywów, aby na pierwszej stronie postawić tę datę, te wydarzenia: szczęśliwe lądowanie kosmonautów, obrady w Moskwie i w Rzymie, byłyby aż nadto wystarczające, aby od nich zaczynać swoje zapiski. Wprawdzie dotyczą one odrębnych dziedzin życia, przecież jednak istnieje między nimi pewien związek. John Gollan, sekretarz Generalny Brytyjskiej Partii Komunistycznej w dyskusji telewizyjnej nad encykliką „Pacem in terris" wyraził „zdziwienie i radość, że w encyklice papieskiej znalazł tyle spraw, z którymi może się zgodzić". „Człowiek poczciwy" dzisiejszego czasu, a za takiego uważam się ja, i moi sąsiedzi, nauczyciele, robotnicy, rzemieślnicy, wszyscy, którzy należymy do takiej czy innej grupy zawodowej, wyrażamy zdziwienie i radość, iż we współczesnych wydarzeniach znajdujemy tyle spraw, z którymi się zgadzamy. Co nie oznacza, że zgadzamy się ze wszystkim, co nam dzień podaje.

Otóż mój pamiętnik, gdybym zdecydował się go pisać w tym okresie, zacząłbym prowadzić od 19 czerwca, gdyż mam i osobiste motywy, aby tę datę upamiętnić. Ostatecznie każdy człowiek ma jakieś swoje przeżycia, większe i mniejsze, których gazety nie zaprotokolują, a które są ważne dla niego. W moim życiu data 19 czerwca musi być podkreślona, gdyż tego dnia moja córka zdała maturę. A wy, redaktorze, zdajecie sobie sprawę z tego, co to znaczy, kiedy doprowadzicie dziecko do pierwszego egzaminu życiowego i kiedy ten egzamin pomyślnie zakończycie. Ale ten fakt ma także znaczenie ogólne, w Polsce około 50 tysięcy dziewcząt i chłopców ukończyło szkoły średnie, stoi przed tymi tysiącami zagadnienie wyboru zawodu i kierunku studiów — więc ta „prywatna" radość jest społeczną radością i wolno ją tutaj odnotować. Poza tym chcę przypomnieć, że tegoroczna matura jest maturą młodzieży urodzonej w 1945 roku — a więc pierwszą maturą pokolenia urodzonego w pierwszym roku odzyskania wolności.

Tak więc proszę zapisać, Redaktorze, data 19 czerwca jest dla mnie bardzo ważna. Wyprawa dwojga młodych ludzi, Walentyny i Walerego, poza Ziemię stała się główną sensacją dnia na całym świecie. Stała się sensacją i dla nas „ludzi poczciwych", żyjących, jak wy to piszecie w szarych kamienicach szarej Łodzi. Pamiętam, jak mój sąsiad bał się, aby Walentyna i Walery powracając na Ziemię nie spalili się w oceanie powietrznym. Najbardziej twarde meteoryty się spopielały a więc obawy były uzasadnione. I jak się cieszył, kiedy doszła do nas wieść o pomyślnym lądowaniu. Jak się cieszył z każdego komunikatu wydanego przy tej okazji. Nawet z tego, że Walentyna była najpierw prządką, a potem dopiero została pilotem kosmicznego okrętu. Przecież Łódź to przecież prządek, a więc Walentyna stała nam się od razu bardzo bliska. Rada Narodowa nadała jej Odznakę Honorową miasta i zaprosiła ją do odwiedzenia Łodzi. Proszę się nie dziwić, że piszę o tym ze wzruszeniem. A może właśnie w drodze życiowej Walentyny — od prządki do kosmonautki — tkwi symbolika tej wyprawy? Na pewno ta „sensacja" ma głębsze podłoże. „Człowiek poczciwy" czyta teraz w gazetach, że coraz dalej i głębiej przenika w otchłanie kosmosu twórcza myśl człowieka; że coraz bardziej zbliża się on do dalekich planet i gwiazd; że ci młodzi komsomolcy, którzy sterują statkami kosmicznymi, torują drogę swoim następcom; a także zapowiadają nowe życie. „Człowiek poczciwy" stoi przy swojej maszynie, wdycha w płuca ciężki pył fabryczny, uszy ma przepełnione stukotem tysiąca wrzecion, wraca po pracy do domu, w którym często nie znajduje zasłużonego odpoczynku, „człowiek poczciwy" uwikłany jest w różne kłopoty — i któregoś dnia otrzywa, że jego zmęczenie ma głębszą treść, że chociaż szedł — jak powiada pisarz — „pod deszczem i słońcem, przez zasieki leśne, przez góry i tunele", że chociaż potykał się i padał ale „każdy kilometr drogi, każdy rok życia wzbogacał jego serce, rozpalał pragnienia i czynił przenikliwym wzrok..." „Człowiek poczciwy" odkrywa potrzebę i sens swojego życia, swoich trosk, pracy, miłości, dostrzega że to życie, które zwykł był nazywać szarym i bezbarwnym, jest interesujące, nie pozbawione sensacyjnej akcji i nadzwyczajnych wydarzeń i posiada przed sobą wyraźne i atrakcyjne perspektywy.

No więc, Redaktorze, zaczęliśmy pisać ten pamiętnik 19 czerwca. Upłynął już tydzień, habemus papam, rozległo się w Rzymie, następca Jana XXIII, który zdobył sobie tyle sympatii na całym świecie, Paweł VI zapowia-

Dalszy ciąg na str. 4

MARIA KORNATOWSKA

Po III FFK w Krakowie (2)

Na palcach można by policzyć ciekawe pozycje zaprezentowane w ramach kategorii filmu animowanego. Przy okazji pytanie: dlaczego film animowany uznano za osobny rodzaj filmowy, podczas gdy chodzi tu tylko o technikę realizacji pozwalającą tworzyć zarówno filmy oświatowe (Dinozaury) jak i pełnometrażowe filmy fabularne (np. „Zakochany kundel"). Ale to uwaga na marginesie. Na festiwalu mieliśmy możność porównać rodzimą produkcję z tak świetnymi osiągnięciami jak choćby „Jabłko" G. Dunninga, „Alfa Omega" B. Borretto czy „Surogat" Vukotiča. Znakomity skrótowy rysunek, dynamika, wykorzystanie muzyki jako integralnego składnika filmowej całości, dowcip wynikający z istoty samego tworzywa — oto parę tylko cech wspomnianych tu filmów zagranicznych. Nic z tego nie mogliśmy zauważyć w rodzimej twórczości, w której króluje smętny kolorek, plastyka *a la Pikas* i tradycyjne, pozbawione inwencji sposoby prowadzenia narracji. Szczytem pomysłowości jest powtarzana we wszystkich niemal filmach scena pogoni, dająca realizatorom asumpt do różnych łamańców kolorystycznych i kompozycyjnych. Dodajcie do tego pseudo-filozoficzne zadęcie i wrodzony brak poczucia humoru.

Na smutnym tle festiwalu wyróżnić warto parę pozycji. O „Labiryncie" (Złoty Smok) Lenicy pisano już wiele i w tonacji najwyższej. To rzeczywiście świetny, kafkowski w klimacie a przecież pełen specyficznego, czarnego humoru film. Tylko nieliczne dzieła sztuki współczesnej potrafiły w sposób tak prosty oddać całą absurdalność i koszmar świata — labiryntu, po którym krąży bezbronna jednostka — człowiek. Swoją wymową „Labirynt" przypomina „Anioła zagłady" Bunuela. I tu i tam człowiek zamknięty w stworzonej przez siebie klatce, otoczony prawami i konwenansami — wymyślonymi przez siebie potworami. O Lenicy można by jeszcze długo, ale czas wspomnieć o dowcipnej i pomysłowej „Literze" Szczechury (Brązowy Smok) i ciekawym eksperymencie Urbańskiego pt. „Materia" (animowany film autorski). Dużą dozą wdzięku, pomysłowości i dowcipu odznaczał się wycinankowy „Don Juan" Zitzmana (Srebrny Smok). Dobre gagi, zręczne wykorzystanie strony muzycznej, wyróżniało ten film od masy innych. Wreszcie „Klient nasz pan" Z. Ołdak-Wdówkówny (Srebrny Smok) wniósł do naszego filmu lalkowego ożywczy powiew. Trafna satyra obyczajowa idzie tu w parze z ładną oprawą plastyczną, nowoczesną ale nie przerysowaną koncepcją lalek. Kilka bardzo dobrych pomysłów np. salon gazowniczy, sprzedawczyni — Lorelei itd. W sumie film, który zdobędzie publiczność. W dziedzinie filmów dla dzieci sytuacja również nie przedstawia się nazbyt wesoło. Biedne dziatki skazane są przeważnie na piły w rodzaju „Mamutka" czy też umoralniające opowieści o „Przygodach kota Juli". Z filmów dziecięcych na pierwszym miejscu postawilibyśmy „Na podwórzu" Niedźwieckiej a nie nagrodzoną Złotym Smokiem „Bajkę o smoku" Kijowicza — zbyt cyba mrożkowską jak na dziecięce gusty. „Na podwórzu" natomiast to film żywy, prosty, bezpretensjonalny i do tego jeszcze zabawny. A dzieci to lubią.

W przeciwieństwie do ubiegłorocznego Festiwalu zwiększono pulę nagród, wyodrębniając specjalny dział Smoków Wawelskich za inne formy filmów krótkometrażowych. Zdawałoby się, że w tym zakresie jury będzie miało sporo trudności w przyznaniu nagród. Tymczasem nie było wśród zgłoszonych filmów tej kategorii zbyt wiele do wyboru. Jedynymi pretendentami i zarazem faworytami były dwa nagrodzone filmy — „Ssaki" R. Polańskiego i „Biały walc" E. Etlera. Trzeciej nagrody jury wolało w ogóle nie przyznawać. I rzeczywiście, świetny film — groteska „Ssaki" za które Polański otrzymał już nagrodę na Festiwalu w Tours i udana etiuda fabularna Etlera ze znakomitymi zdjęciami operatora St. Śliskowskiego (o „Ssakach" i „Białym walcu" pisaliśmy już w „Mieszance", stąd nie chcemy dłużej zatrzymywać się przy tych filmach) zdystansowały dwa zupełne nieporozumienia artystyczne jakimi były: „Nad rzeką" J. Kubika — naciągana historyjka o partyzantce w spodniach (Zofia Słaboszowska) i partyzancie (Franciszek Pieczka) jest słaba przede wszystkim od strony dramaturgicznej i realiów okupacyjnych. Drugim nieporozumieniem był „Profesor Zazul" Marka Nowickiego i Jerzego Stawickiego wg Stanisława Lema — pierwszy z seryjnych filmów wyprodukowanych w łódzkim „Semaforze". W tym przypadku chyba nawet Lem w czołówce filmu nie mógł wywołać lepszego wrażenia niż odczucie amatorszczyzny, nudy i fatalnego aktorstwa przede wszystkim w osobie p. Kurowskiego „zrobionego" à la Tadeusz Łomnicki w „Niewinnych czarodziejach". Drugi film Etlera prezentowany na Festiwalu — „Kraksa" choć przyjęty dość przychylnie jako popis warsztatu reżyserskiego i dobrej pracy operatora St. Śliskowskiego, niestety, grzeszył zbyt wieloma wydumanymi sytuacjami i zbyt monotonną i długą narracją. Rzeczą pocieszającą jest, że w porównaniu z podobnymi gatunkowo filmami zagranicznymi, jak chociażby z kompromitującą autorów „Modelką" produkcji czechosłowackiej nasze krótkie filmy aktorskie, etiudy fabularne nie zmuszały do wychodzenia podczas ich projekcji.

W wielu wypowiedziach osób uczestniczących w Festiwalu przewijało się powiedzenie o III FFK jako o „odbiciu aktualnej sytuacji polskiej kinematografii krótkometrażowej". Że Festiwal krakowski jest takim odbiciem, aktualnym i bardzo pożądanym, temu zaprzeczyć nie sposób, a wprost przeciwnie, ukłon w stronę organizatorów, dyrekcji Festiwalu i ojców miasta Krakowa wypada złożyć za coroczne organizowanie takiego „odbicia". Rzecz w tym, czy „odbicie" to nasuwa dobre wnioski, co do poziomu polskich krótkometrażówek czy raczej skłania do załamywania rąk? Będąc z natury optymistami sądzimy, że polski krótki metraż nie stoi nad przepaścią, a po prostu stanął w miejscu, gdzie trzeba sporo czasu poświęcić na rozglądanie się nie tylko za dobrymi i ważnymi tematami, ale także za odpowiadającymi specyfice tych tematów środkami filmowymi, które w swej oryginalności i świeżości też z czasem jałowieją i starzeją się, stając się tylko manierami. Owa stagnacja, którą swego czasu sygnalizowaliśmy, potwierdziła się na III Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Oby minęła jak najprędzej, tak, ażeby świetna organizacja i znakomity klimat krakowskiej imprezy odpowiadały też ciekawym filmom krótkometrażowym, które nam nasze wytwórnie zaprezentują na przyszłorocznym, może już międzynarodowym IV FFK w Krakowie. Nie znaczy to, że czekać będziemy aż do przyszłej wiosny. Sprawom polskiego krótkiego metrażu będziemy nadal poświęcać wiele uwagi i miejsca, nawet pomimo różnych i często niezbyt optymistycznych wniosków na jakie niestety zasłużył polski film krótkometrażowy w chwili obecnej.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

CO SIĘ KOMU PODOBA?

Naszą nową komedię filmową pt. „Smarkula" reż. Leonarda Buczkowskiego spotkało zarówno ciepłe przyjęcie ze strony krytyki jak i aplauz publiczności. Film podoba się wszystkim. I słusznie. Jest bezpretensjonalny, chwilami zabawny, chwilami wzruszający, dobrze zagrany i poprawnie zrealizowany. Słowem, wymarzony od lat „film dla ludzi". I właściwie można by już na tym poprzestać i zakończyć tę recenzyjkę, gdyby nie pewne, maleńkie... „ale". Może nie tyle nawet „ale" ile taka sobie dygresja. Przy oglądaniu „Smarkuli", cały czas prześladowała mnie myśl, że coś mi ten film przypomina, że gdzieś już coś podobnego widziałam. Sztuki Niewiarowicza nie znam. A więc nie o to chodziło. W pewnym momencie olśniło mnie. Oczywiście — przedwojenne polskie komedie filmowe! Waszyński i inni. „Zapomniana melodia", „Jaśnie pan szofer", „Wicek i Wacek" itd. itd. I ludek warszawski ten sam. Cwaniaki o złotym sercu. I dramata, rzecz jasna sercowe te same i sentymenta. I młodzież nie dzisiejsza. Nawet układ klasowy wyraźnie przedwojenny, bo dziewczyna woli lekarza od szofera. Jedynie chyba chuligani i zagęszczenia mieszkaniowe za rekwizyty współczesności mogą uchodzić, bo o takowych, o ile mnie pamięć nie myli, przedwojenne filmy nie wspominały. Tytułowa bohaterka również żywcem z dawnej komedii wyjęta. Nic z kociaka, nic z dzisiejszej nastolatki. A Kalenik? Przed wojną co najwyżej nie miałby samochodu. Cztery kółka nie były wówczas nieodzownym atrybutem filmowego amanta. Ale poza stalowym rumakiem, reszta jak z „Zapomnianej melodii" — maniery, styl, mentalność. Pawlik znakomicie łączy w sobie cechy postaci kreowanych przez Dymszę i Sielańskiego. Wołłejko przypomina znów filmowe wcielenia Żabczyńskiego itd. itd. A sam charakter filmu, typ konfliktu, podkład obyczajowy?

Całość utrzymana w owym dobrze znanym rzewnym tonie z domieszką warszawskiego dowcipu i humoru. Trochę śmiechu i łez parę. Pisząc to bynajmniej nie chcę pomniejszać zasług filmu Buczkowskiego. Nic podobnego. Chodzi mi raczej o podkreślenie pewnego, zabawnego, jak sądzę, paradoksu. Przez dwadzieścia blisko lat odsądzaliśmy od czci i wiary naszą przedwojenną kinematografię, by teraz z entuzjazmem powitać wskrzeszony jeden z jej modeli. Przez te dwadzieścia lat zaszły w Polsce ogromne zmiany społeczne i obyczajowe. Zdawałoby się, że światek zaludniany przez różne wcielenia Dymszy, Bodo czy Sielańskiego zestarzał się, wyblakł, stał się anachronizmem. A tymczasem w „Iluzjonie" publiczność wali drzwiami i oknami, prawie jak na „Krzyżaków" na stare polskie filmy. I ta sama publiczność gorąco przyjmuje „Smarkulę". Bynajmniej nie „stara" publiczność. Młodzież także. I to już jest problem bliższy zainteresowaniom socjologa raczej niż krytyka filmowego.

Anna Prucnal w filmie „Smarkula"

EKRANIK

◎ Jak podało „Sowietskoje Kino" w filmie o poronińskim okresie życia Lenina według scenariusza Gabryłowicza i Jutkiewicza rola tytułowa została powierzona popularnemu odtwórcy postaci Lenina, ludowemu artyście RSFRR — M. Sztrauchowi.

◎ W Moskwie odbył się cykl wykładów publicznych poświęconych twórczości filmowej w Polsce, na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii. Cykl ten zatytułowany był „Mistrzowie ekranu krajów socjalistycznych".

◎ W Budapeszcie utworzono młodzieżową, eksperymentalną wytwórnię filmową im. Beli Balazsa, która nastawiona jest na produkcję krótkometrażowych filmów fabularnych i dokumentalnych. Jedną z pierwszych pozycji tej wytwórni jest film „Cyganie".

◎ Wbrew prasowym pogłoskom B. B. nie pożegnała się z ekranem, lecz występuje jednocześnie w dwóch filmach: „Pogarda", wg powieści Alberto Morawii i w „Uroczej idiotce" wg powieści Exbrayata. Pierwszy film reżyseruje Jean Luc Godard, a drugi Eduard Molinaro. Partnerem B. B. jest Anthony Perkins, znany z „Procesu" Kafki.

◎ Eksport filmów francuskich wzrósł w roku 1962. Francja zarobiła 96 mln. dolarów, podczas gdy w poprzednim roku tylko 79 mln. dolarów. Eksport nie przebiegał jednak równomiernie, zwiększył się znacznie do Stanów Zjednoczonych, Hiszpanii, Włoch, Kanady, a zmniejszył do W. Brytanii, Związku Radzieckiego i NRF.

◎ Włochy należą do nielicznych krajów, w których kinematografia nie może się skarżyć na spadek frekwencji. Wpływy kasowe w r. 1962 były w porównaniu z rokiem 1961 o 7 proc. wyższe i wyniosły 133 mld. lirów.

◎ Inscenizowana po raz pierwszy w 1944 r. sztuka Jean Paul Sartre'a „Drzwi zamknięte" została adaptowana w Argentynie przez George'a Tabori w reżyserii Teda Danielewskiego. Grają Viveca Lindfors, Rita Gam, Morgan Sterne i Ben Piazza. Film cieszy się podobno wielkim powodzeniem w Stanach Zjednoczonych.

◎ Związek Włoskich Dziennikarzy Filmowych przyznał nagrody Srebrnej Wstęgi dla najlepszych filmów roku 1962. Za najlepszą reżyserię otrzymali nagrody Nanni Loy („Cztery dni Neapolu") i Francesco Rosi („Salvatore Giuliano"). Za najlepszą kreację aktorską Gina Lollobrigida („Venus cesarska") oraz Vittorio Gassman („Il Sorpasso"). Nagrodę za reżyserię najlepszego filmu zagranicznego zdobył Francois Trauffaut, autor znanego filmu „Jules i Jim".

◎ We Włoszech przystąpiono do realizacji, w porównaniu np. z 40-milionową w kosztach „Kleopatrą", super-superfilmu „Biblia", którego wyświetlanie w pięciu seriach będzie trwało 15 godzin. Poszczególne epizody będą realizowali „Raj" — Roger Vadim, „Kain i Abel" — Stanley Kramer, „Arka Noego" — Howard Hawks, „Abraham i Izaak" — Nicholas Ray, „7 plag egipskich" — Luis Buñuel, „Mury Jerycha" — Morton Da Costa, „Dawid i Goliat" — Frank Capra, „Hiob" — Marlon Brando (reżyseria i rola tytułowa), „Jonasz i wieloryb" John Huston, „Zwiastowanie" — Alain Resnais, „Wyrzucenie kupczących ze świątyni" — Lindsay Anderson, „Zmartwychwstanie Łazarza" — Roger Corman.

Ogólne kierownictwo sprawuje Luchino Visconti, który reżyseruje również epizod „Józefa i jego braci". Wśród pozostałych, przewidzianych reżyserów znajdują się nazwiska Felliniego, Antonioniego, Brooka. Producentem filmu jest jeden z największych włoskich potentatów filmowych Dino De Laurentis.

◎ W Paryżu na lotnisku Orly otwarto pierwsze na świecie całkowicie zautomatyzowane kino. Przed kinem wisi świetlny plan, na którym zielonym kolorem błyszczą miejsca wolne, a czerwonym zajęte. Miejsca są numerowane i po ich wybraniu widać z boku rzędu właściwe miejsce oznaczone wyraźnie specjalnym świetlnym znakiem. Po zajęciu miejsca na zewnątrz, na planie ukazuje się czerwone światło. Dwa automatyczne projektory wyświetlają film i przekręcają go z powrotem na puste rolki. Obsługa całego kina na 300 miejsc składa się z jednej osoby. Dla cukierków, lodów oraz napojów są też automaty.

◎ Niezadowolenie w Hollywood spowodowało zupełne niepowodzenie filmów amerykańskich na tegorocznym festiwalu Mar del Plata. Wyświetlano tam film Cassavetesa „Dziecko oczekuje pomocy". Prasa twierdzi, że film był „jak zawsze źle wybrany na rynek". Równocześnie prasa podaje, że nagrodzony Grand Prix film węgierski „Ziemia Aniołów" nie otrzymał wizy eksploatacyjnej argentyńskiej cenzury „z powodów politycznych".

A. N.

mieszanka FILMOWA

UPIÓR KAMIENICY

Dalszy ciąg ze str. 1

której się w życiu nie powiodło i ma teraz żal do administratora, że musi za wodę płacić, do lokatorów, że mają małe, hałaśliwe dzieci, do świata całego, że jej nie dostrzega i na margines spycha. Postać to nieszczęśliwa. Litość i trwoga człowieka ogarnia, kiedy słucha, co o niej współmieszkańcy opowiadają. Każdy jej konflikt z otoczeniem ma swój finał w sądzie. Wszystkim wszystko ma za złe. Powierzyła kuśnierzowi futro do przeróbki i natychmiast go posądziła, że ją oszukał. Trzy lata trwał spór i ciągnęła się sprawa w sądzie.

— Ja to futro ofiaruję na PCK, ale proszę ukarać Małeckiego — błagała sąd na rozprawie.

Naprzeciwko jej drzwi mieszkało młode małżeństwo. Kiedy młoda mężatka zaszła w ciążę C. twierdziła, że się szmatami wypycha. Kiedy się dziecko urodziło insynuowała, że zostało kupione. Wreszcie dopięła swego, młodzi ludzie nie mogli już dłużej wytrzymać ciągłych insynuacji, dręczących konfliktów i plotek. Za poradą lekarza-psychiatry — młodej kobiecie groził kompletny rozstrój nerwowy — wyprowadzili się z kamienicy i z kilkumiesięcznym dzieckiem tułali się niemal rok po krewnych i znajomych.

Podczas generalnego remontu kamienicy C. wysyłała alarmujące listy do „Fali 56" w stylu: „Ja jako aktywista i społecznik poczuwam się do obowiązku itp." Tutaj następowała seria argumentów, a mianowicie: X-owi wstawiono nowe drzwi, Y-kowi nową futrynę, a C. nie wstawiono nic.

Swego czasu spora część lokatorów podpisała nawet zbiorowy list, ażeby tę straszną kobietę z tej strasznej kamienicy wykwaterować. Proponowano jej również dobrowolną zamianę mieszkania. Nie zgodziła się. Zresztą sprawa jej eksmisji jest nadal żywotna, kontynuuje ją od kilku lat administrator posesji.

Oczywiście, C. jest tylko jednym lecz wcale nie jedynym egzemplarzem wojującego kołtuństwa. Ona przoduje, wysuwa się na czoło, stanowi symbol podwórkowej Odyssei. Do historii kamienicy przeszła także wielka wojna o korytarz... między personalnym a sąsiadką. Personalny zamurował w końcu korytarz, sąsiadka poniosła sromotną klęskę i żegnana przekleństwami wyniosła się z kamienicy gdzie pieprz rośnie.

Lecz nie koniec na tym. Piękne, w klasycznym stylu zwycięstwo personalnego, pobudziło do czynu nauczyciela śpiewu. Przypomniało mu się bowiem, że w 1945 roku odstąpił on adwokatowi część swego pięciopokojowego mieszkania. Adwokat, choć jest szwagrem nauczyciela, niewdzięcznie się zachował, wyrobił sobie nakaz kwaterunkowy na mieszkanie i ani myślał pamiętać o jakimś finansowym rewanżu, o którym to z kolei rewanżu aż za bardzo myślał nauczyciel i nawet oczyma duszy wyrysował sobie jego okrągły kształt w postaci jednej trójki i czterech zer. Był to jednak łabędzi śpiew na swojską nutę. Adwokat za zgodą administratora oddzielił się od śpiewającego o pieniądzach nauczyciela śpiewu grubszą ścianką i do dziś ma święty spokój. Tylko od czasu do czasu występuje obecnie jako doradca prawny lub świadek w licznych, karnych i cywilnych procesach, które odważnie i z pełnym samozaparciem toczy administrator domu przeciwko nauczycielowi, przeciwko emerytowanej pani C. i przeciwko tym, którzy za namową nauczyciela i emerytki przestali płacić komorne, oraz w sprawach które tamci z kolei przeciwko administratorowi wytaczają.

Oczywiście, administrator to znów osobny rozdział tej pasjonującej, pełnej dramatycznych spięć historii, pisanej na urzędowych blankietach i sądowych pozwach oraz na gzymsach i ornamentach kamienicy. Ażeby jednak w pełni upamiętnić dzieje pieniactwa i kołtuństwa wykorzystującego demokratyczny system naszych instytucji piszę dalej.

Otóż administrator tej ponurej posesji jest jednocześnie jej właścicielem. Rzecz o tyle dziwna, że nabył ją stosunkowo niedawno. Jak wiadomo posiadanie takiej wielkiej, liczącej ćwierć tysiąca mieszkańców kamienicy jest w naszych warunkach ustrojowych dość symboliczne. Z chwilą więc kiedy stał się właścicielem i administratorem tego domu skłóconych, powaśnionych i nawzajem śmiertelnie nienawidzących się lokatorów wciągnięty został automatycznie w sam środek intrygi. I to za własne pieniądze. Tajemnicza i niezrozumiała jest widocznie dusza posiadacza, szczególnie dla młodego dziennikarza współczesnego.

Pani C. pomówiła natychmiast administratora o przywłaszczenie 90 tysięcy złotych, nauczyciel śpiewu zapamiętał mu dobrze stanowisko, które zajął podczas sporu z adwokatem (wyraził zgodę na rozdział mieszkania) i posądził go o kradzież 90 tysięcy złotych, 19 tysięcy, i 1.260 złotych. Podjudzeni przez panią C. lokatorzy przestali płacić rachunki za wodę, a nawet nieliczni od opłat czynszu komornianego zaczęli się uchylać.

Jeden z lokatorów zupełnie przestał płacić, gdyż doszedł do wniosku, że ma 300 zł nadpłaty. Gospodarz-administrator oddał sprawę do sądu. Adwokat gospodarza pobrał 500 zł, adwokat lokatora 500 zł, biegły trzy razy po 800 zł. W rezultacie pomiary wykazały, że dotychczas lokator płacił za mało, a nie za dużo. Zamiast 300 zł zapłaci teraz około 4.000 zł. Pani C. pocieszyła biednego lokatora: „Jeśli znajdę uchybienia za 20 gr — to 10.000 stracę ale nie przepuszczę".

I w tej oto właśnie zatęchłej atmosferze, wypełnionej jadem nienawiści i małostkowości pewnego pięknego poranka, dokładnie dnia 25 stycznia 1968 roku wychodzi ustawa o Radach Narodowych (Dz. Ustaw nr 5, poz. 16).

„Na terenach miejskich tworzy się komitety blokowe (osiedlowe, uliczne, domowe) jako stałe reprezentacje mieszkańców powołane do umacniania więzi pomiędzy miejskimi (dzielnicowymi) radami narodowymi, a mieszkańcami miast oraz zapewnienia współdziałania mieszkańców z radami narodowymi w zakresie zarządzania domami itd.".

Od razu widać, że Mickiewicz tej ustawy nie pisał, ale sens swój ona posiada. W czynszowej kamienicy odbywają się więc wybory do komitetu domowego. Nikogo to początkowo nie interesuje. Pełnomocnik ministra jest akurat w delegacji, prokurator tropi przestępców, nauczyciele udzielają korepetycji a urzędnicy załatwiają petentów. Przeważnie odmownie. Po prostu władza nad kamienicą leży na ulicy, a raczej na podwórku, tylko się schylić i ją wziąć. Kto ją podniósł? Oczywiście pani C. która przecież sama siebie nazwała „aktywistą i społeczniczką". Ni stąd ni zowąd taki zapał i duch obywatelski w nią wstąpił, że aż strach. Schylił się także po władzę nauczyciel śpiewu, który słuch posiada dobry i dostroić się umie do każdej sytuacji. Jeszcze parę osób się schyliło i władzę zagarnięto.

Rzecz polega na tym, żeby d z i a ł a ć s p o ł e c z n i e trzeba m y ś l e ć s p o ł e c z n y m i kategoriami. Jest to właśnie tragedia wielu komitetów domowych w naszym mieście. Niedawno jedna z kobiet, którą zwolniono za kradzież z MHM przyniosła od komitetu domowego zaświadczenie że jest w ciąży.(?!).

I w opisywanym przeze mnie tutaj przypadku, na skutek bierności mieszkańców do komitetu domowego owej kamienicy, weszli ludzie nieodpowiedni i nieodpowiedzialni, którzy pod społecznym płaszczykiem rozgrywać zaczęli swe prywatne interesy oraz wykorzystywać swoją małą władzę dla swoich dużych animozji, urazów i niechęci. To nie interes społeczny lecz chęć zemsty nimi powodują. Jako przedstawiciele komitetu domowego wystąpili więc w pierwszym rzędzie ze skargą na administratora, że pobiera zbyt wysoki czynsz i zbyt wysokie opłaty za gaz, za wodę, za wywóz śmieci. Zbuntowali lokatorów i zamiast organizować życie domu — dezorganizowali je.

Doszło nawet do tego, że po ustaleniu harmonogramu robót remontowych C. teraz już jako wiceprzewodnicząca komitetu domowego zamknęła strych na kłódkę i robotnicy przez dwa dni nie mogli wejść na dach. Dopiero interwencja milicji położyła kres samowoli.

Jednocześnie administratora domu czterokrotnie pomawiano o dokonanie nadużyć. Prokuratura czterokrotnie prowadziła dochodzenie i nie doszukując się jakichkolwiek uchybień — za każdym razem umarzała sprawę. Polowanie na czarownice trwało jednak nadal. Wszyscy, którzy choć raz zetknęli się z tą straszną kamienicą, obrzuceni zostali błotem. Wreszcie przewodniczący komitetu blokowego oświadczył: „Nie pójdę na tę posesję gdyż tam jest bagno i nie myślę zrujnować sobie zdrowia". Prokuratorom, milicjantom, pracownikom Wydziału Gospodarki Komunalnej, którzy z urzędu mieli styczność z posesją również nie przepuszczono, pomawiając jeśli nie zaraz o przekupstwo, to przynajmniej o piegi na nosie.

W tej kamienicy nie ma jednak bójek, awantur czy głośnych scysji. Nikt tu nikomu nie porąbał siekierą pierzyny, nie wybił okna czy oka. Akumulowane nienawiści rozpisuje się w skargi, zażalenia, pozwy i akty oskarżenia. W tej „Zemście" nie ma Cześników, — tylko sami Rejenci, biegli w prawie i w księgach rachunkowych.

Razu pewnego cały komitet domowy zaczaił się w przedpokoju jednego z sąsiadów, aby podsłuchać o czym rozmawia administrator ze specjalistą w dziedzinie księgowości i rachunkowości. Rzeczywiście, członkowie komitetu wiele interesujących rzeczy się wtedy dowiedzieli na temat salda i bilansu.

Nauczyciel śpiewu wraz z panią C., którzy już od dłuższego czasu tworzą wspaniały tandem pieniactwa zorganizowali nawet „komisję rewizyjną" nieruchomości i zaczęli na własną rękę weryfikować metraż całej kamienicy. Dopiero pismo urzędowe skierowane do nich przez Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Śródmieście położyło kres samozwańczej działalności. („Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Śródmieście Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej ostrzega obywatela przed konsekwencjami wynikającymi z tytułu występowania w imieniu Komisji Rewizyjnej nieruchomości mieszczącej się przy ul. Piotrkowskiej 88. Obywatel nie należy do Komitetu Domowego a tym samym nie może być w żadnej „komisji". Postępowanie Obywatela jest karygodne i jeśli powtórzy się podobny wypadek, sprawa będzie potraktowana bardzo rygorystycznie. Kierownik Wydziału Kazimierz Michalski"). Wreszcie w lutym ub. r. w obecności przewodniczącego Obwodowego Komitetu FJN oraz w obecności kierownika Gospodarki Mieszkaniowej i Komunalnej Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi (Prezydium DRN dla mieszkańców tej kamienicy już się nie liczy) i przy współudziale terenowej grupy partyjnej dokonano wyboru nowego komitetu domowego. Miało to zakończyć intrygi i położyć kres waśniom lokatorów.

Oto cytat jednego z licznych pism: „Na skutek ich wywrotowej roboty na posesji wielu lokatorów odmawia płacenia czynszu lokalowego, trzeba było wnieść sprawę do sądu przeciwko zbuntowanym lokatorom".

Jak widzimy strony używają słów mocnych, takich jak bunt, wywrotowa robota, sabotaż nawet itp. Jeden z lokatorów powiedział do mnie:

„Nasza posesja jest w obecnych warunkach socjalistycznych jakąś wyspą kapitalizmu w najczystszej(!) przegniłej(!) formie".

Czysta i przegniła. Ech, łza się w oku kręci! Ale to jeszcze nie jest ten najwyższy szczyt. Jeden lokator drugiego lokatora nazwał jednocześnie: „Żydem, SS-manem, i polską świnią oraz bolszewikiem i katolikiem". Wszystko jednym tchem. Co za mozaika idealnie wykluczających się pojęć, które w mniemaniu narratora miały stanowić jeden, zwięzły, soczysty epitet.

„Zbuntowani lokatorzy" to obecnie właśnie pani C. i nauczyciel śpiewu. Administrator prowadzi przeciwko nim trzy sprawy w sądzie. Cywilną i karną przeciwko C. oraz karną przeciwko nauczycielowi. Na ostatniej rozprawie, która toczyła się 12 czerwca w VII Wydziale Karnym Sądu Powiatowego m. Łodzi przeciwko nauczycielowi zapadł wyrok: 5 miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata i 500 zł grzywny oraz opłata kosztów postępowania sądowego. Była to już któraś z rzędu sprawa rewizyjna. Nauczyciel zapowiedział ponowną rewizję. Niewątpliwie jak wszystkie sprawy sądowe między mieszkańcami tego domu i ta również trafi zapewne aż na wokandę Sądu Najwyższego.

Akta tej jednej sprawy ważą już w tej chwili około 6 kg. Czego tam nie ma! Jest odpis donosu do Urzędu Bezpieczeństwa z 1945 roku. Są dyplomy nauczyciela śpiewu w rodzaju: „Koło Rodzicielskie przy Gimnazjum i Liceum im. ... w Łodzi dla upamiętnienia Święta Pracy 1 Maja wynagradza ob. prof. ... za wybitną pracę na polu nauczania i wychowania naszej młodzieży w duchu socjalizmu, w postaci przyznanej premii pieniężnej w wysokości zł 7 000". Albo: „Dyplom za udział i wyróżnienie chóru dziecięcego ... Szkoły Podstawowej im. ... w III Festiwalu Pieśni Chóralnej".

Zaraz więc widać, że mamy tu do czynienia z facetem wyróżnionym, zasłużonym, dyplomowanym i upamiętnianym tysiącami złotych. A mimo to sąd ukarał go pięcioma miesiącami więzienia.

Ażeby charakterystyka tych interesujących postaci była, jeśli nie kompletna, to choć w miarę pełna — należy dodać, że C. która na ostatniej rozprawie występowała jako świadek oskarżonego przywiodła z sobą do sądu ociemniałą. Chodziło bowiem o to, by utwierdzić Wysoki Sąd w przekonaniu, że zeznania takiego świadka, który jako „aktywista i społecznik" opiekuje się nawet ociemniałymi nie powinny podlegać wątpliwości. Ponadto owa ociemniała kobieta miała zeznać, że swego czasu główny oskarżyciel maltretował ją.

Jest to już ponad wszelki wyraz obrzydliwe. Tępa mściwość i głupota rozum tym ludziom odbiera. Był kiedyś w Łodzi tęgi pieniacz, niejaki Sida, który nawet o wbicie gwoździa w płot się procesował. Okazało się potem, że był niepoczytalny.

Za klimat moralny, który panuje w kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 88 winę ponoszą oczywiście wszyscy mieszkańcy. Poprzez swą bierność i apatię dopuścili do tego, że członkami poprzedniego komitetu domowego zostali ludzie zupełnie nie nadający się do pracy społecznej, spowodowali szereg zbędnych konfliktów, zdezorganizowali życie domu, powaśnili mieszkańców. Nowy komitet nie ma łatwego zadania i nie szybko uporządkuje stare sprawy, nie szybko zlikwiduje zapiekłe nienawiści, które nurtują lokatorów.

Na szczęście zły duch kamienicy przeistoczył się dziś już tylko w martwego upiora. Ale upiór straszy. I niestety nie tylko w tej jednej kamienicy

KAROL BADZIAK

ZAPISKI „CZŁOWIEKA POCZCIWEGO"

Dalszy ciąg ze str. 2

da kontynuację polityki swojego poprzednika. Oczywiście „człowiek poczciwy", ten, o którym tyle się mówi i pisze, że jest budowniczym, tworzy, pracuje, że na nim opiera się cała przyszłość, partyjny i bezpartyjny, zaangażowany we współczesność nie popada w złudzenie, że głosy Ojców Kościoła zakładają most całkowitej zgody między ideałami o charakterze socjalistycznym i katolickim, ale cieszą go słowa pochodzące z tej części świata, która opiera się na innej filozofii życia. W tym samym tygodniu Walentynie i Waleremu zgotowano w Moskwie uroczyste przyjęcie, kosmonauci otrzymali tytuły Bohaterów Związku Radzieckiego, postanowiono wznieść w Moskwie brązowe popiersie W. Tierieszkowej, aby upamiętnić postać pierwszej kobiety świata, która przebywała w przestrzeni kosmicznej. Nikita Chruszczow nazwał Tierieszkową i Bykowskiego dziećmi narodu radzieckiego, wybitnymi przedstawicielami młodego pokolenia. Na Plenum KC padły słowa, że naród radziecki dumny jest ze swojej młodzieży, ta młodzież przejawia entuzjazm pracy, patriotyzm i ci „którzy pocieszają się złudzeniami o konflikcie ojców i dzieci... nie powinni zapominać o naukach przeszłości". Walentyna i Walery, nowi bohaterowie życia i nowi bohaterowie literatury uosabiają wzory tej młodzieży, gotowej do najwyższych poświęceń. Młodzieży — swemu rewolucyjnemu następcy, powiedział Iljiczew, partia powierza wielkie sprawy. W tym klimacie, Redaktorze, ja, który nazywam siebie „człowiekiem poczciwym", chciałbym rozpatrywać swój stosunek do naszej młodzieży.

Proszę wybaczyć, Redaktorze, ale w tym samym klimacie chciałbym również mówić o sobie i moich sąsiadach. Jest to klimat prawdy. I o tym mówiono również w Moskwie. Lot prządki Walentyny poza Ziemię należy bardzo ściśle wiązać z nami, „poczciwymi ludźmi", pracującymi w naszych miastach i wsiach, często w warunkach, nie trzeba przypominać, bardzo uciążliwych. Nie muszę chyba dodawać, że kraj Walentyny (po 45 latach zaprowadzenia w nim socjalizmu) posiada 220 tysięcy szkół ogólnokształcących, ponad 4 tysiące wyższych i średnich szkół zawodowych, ponad 380 tysięcy bibliotek, 1[illegible] tysięcy klubów i domów kultury... no i to są te elementy, które sprzyjają powstawaniu nowego klimatu, rozwojowi „człowieka poczciwego" i kierują losem prostych prządek i robotników. Ale, powtarzam, pisać muszę o „człowieku poczciwym" i o jego roli w przeobrażeniu naszego świata. Uchwałę Plenum KPZR uważam dlatego za szczególnie ważną, gdyż w sposób zdecydowany stawia ona sprawę „człowieka poczciwego", mówi prawdę o tym człowieku, o wszystkich Pawłach Własowach, Szczęsnych-Bida-ch, Andrzejach Arefiewach, którzy opuszczają wygody błyszczącej Moskwy i aż za polarnym kręgiem budują nowe życie. Jest tam mowa nie tylko o wyczynie Walentyny i Walerego, ale o mnie, o moim sąsiedzie, o wszystkich, którzy pilnują warsztatów pracy, pracują w kopalni, sieją, orzą, zbierają.

Redaktorze, to są te sprawy tygodnia, które nasycają nowymi treściami moje i Wasze życie — każdy tydzień, zwłaszcza tydzień naszej socjalistycznej Ojczyzny, przynosi nowe przeżycia i nowe wrażenia. Ale, Redaktorze, chciałbym jeszcze dodać: kiedy była mowa o roli „człowieka poczciwego" — mówiono także o stosunku pisarza i literatury do tych zagadnień. Żądanie, aby literatura oddawała na bieżąco troski i radości współczesnego życia — nie jest żądaniem nowym. Ale dzisiaj nabiera ono specjalnego zabarwienia. Najwyższym kryterium dzieła literackiego — powiedziano — jest prawda życiowa wyrażana z pozycji światopoglądu komunistycznego. Inaczej, ale pięknie wyraził to Thomas Wolfe, kiedy pisał, że „życie nie jest wyłącznie złe i nie jest wyłącznie dobre. [illegible] jest ono tylko ohydne i nie jest tylko piękne... tym wszystkim jest ono i jeszcze czymś więcej, a to wszystko żąda ode mnie, bym je poznał, i ja je będę poznawał, choćby mnie za to ludzie mieli ukrzyżować..." To bardzo ładnie powiedziane, ale sądzę, że jeszcze piękniejsze ziarno tkwi w prostym stwierdzeniu, że nasza prawda życiowa, którą poznajemy i pokazujemy, to prawda budowniczych socjalizmu i komunizmu — „kształtowanie najbardziej humanistycznego społeczeństwa na Ziemi" — i tę prawdę trzeba we wszystkich jej procesach poznawać.

TADEUSZ PAPIER

Jeden z pierwszych znaczków antywojennych. Wydany w ZSRR w roku 1914.

Znaczek Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wydany w roku 1945 przez władze radzieckie administrujące strefą wschodnią dawnej III Rzeszy. Wartość w momencie wydania znaczka — 12 marek. Obecnie według katalogów filatelistycznych — około 1000 marek NRD!

I inny niemiecki raryas filatelistyczny: „Saksońska trójka".

POD DATĄ 6 MAJA 1840 ROKU SIR ROWLAND HILL ODNOTOWAŁ W SWOIM PRYWATNYM DZIENNIKU: „WSTAŁEM RANO O 8-EJ. W IMIENIU KRÓLOWEJ DZIŚ PO RAZ PIERWSZY ROZPOCZĘTO W LONDYNIE SPRZEDAŻ ZNACZKÓW POCZTOWYCH..."

Pierwszy znaczek świata — „Czarny Penny". A tak wygląda sławny „Niebieski Mauritius". Do niedawna był to najdroższy znaczek świata.

Bractwo „Czarnego Penny"

KRZYSZTOF POGORZELEC

Sir Rowland Hill nawet nie przypuszczał, że jego „wynalazek", którym miał nadzieję podreperować finanse Jej Majestatu królowej Wiktorii zrobi tak oszałamiającą karierę i w ileś tam lat później stanie się jednym ze światowych hobbies, a także poważnym źródłem skarbowych dochodów dla wielu państw.

W ten sposób narodziły się skromne pokwitowania za przesyłki listowe wydawane w formie drukowanych nalepek ozdobionych profilem królowej Wiktorii, wartości 1 penny. I tak jak to nieraz bywa — urzędnicza pomyłka zdecydowała o karierze znaczków pocztowych występujących już nie w charakterze pokwitowań za wysłaną korespondencję, ale jako przedmiotu marzeń milionów ludzi. Sir Rowland Hill wstając o 8 rano dnia 6 maja 1840 roku, by sprawdzić jak przebiega sprzedaż jego wynalazku nie wiedział, że jeden z funkcjonariuszy pocztowych przez pomyłkę, na cztery dni przed rozpoczęciem oficjalnej sprzedaży umieścił na liście, ostemplował i puścił w świat jeden ze znaczków z profilem królowej Wiktorii. W taki to sposób pojawił się na świecie pierwszy znaczek pocztowy — bardzo cenny „Czarny Penny", który dał początek zbieraniu pocztowych znaczków będąc równocześnie po wsze czasy przedmiotem marzeń i wysiłków milionów filatelistów.

Pomysł Rowlanda Hilla szybko podchwytują inne państwa europejskie. W klaserach wielu polskich zbieraczy i we Wrocławskim Muzeum Poczty i Telekomunikacji można obejrzeć egzemplarze znaczka rosyjskiego, wydanego w r. 1[illegible], który używany był w Królestwie Polskim. W dwa lat później dorobiliśmy się już emisji własnego znaczka pocztowego, który wydano w trzech milionach egzemplarzy. Jego rysunek przedstawiał dwugłowego rosyjskiego orła z tarczą, na której umieszczono orła białego.

Dziś oblicza się, że na całym świecie ukazuje się co roku około 3,5 tysiąca znaczków pocztowych. Warto dodać, że duża ich część nigdy nie trafia na koperty listów, a wydaje się je nie dla celów upatrzonych lecz przez Sir Rowlanda Hilla, ale dla zbieraczy. W Polsce międzywojennej ukazało się ogółem 370 znaczków pocztowych, a po odzyskaniu niepodległości, pierwsze trzy znaczki pojawiły się już na przełomie roku 1944—1945. Razem biorąc, na przestrzeni lat 1945—1961 wydano w Polsce ponad 300 serii złożonych z 970 różnych znaczków. Trzeba dla wyjaśnienia dodać, że wielkość każdej emisji wahała się w tych latach w granicach od 700 tys. do 3 milionów sztuk w zależności od nominalnej wartości względnie też przeznaczenia znaczka.

Oderwijmy się jednak od wspominków. Powstaniu znaczka pocztowego — jego szybkiemu rozprzestrzenianiu się na całym świecie towarzyszy, niemal od narodzin pewne zjawiska i wydarzenia polityczne, ekonomiczne, kulturalne i... kryminalne. Tak np. w latach trzydziestych głośna była historia ze znaczkiem wydanym przez Polskę z okazji kolejnej rocznicy zwycięstwa oręża polskiego nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Znaczek przedstawiał Jadwigę i Jagiełłę, u których stóp leżały dwa skrzyżowane miecze. Hitlerowski ambasador w Warszawie von Moltke zgłosił ostry protest u rządu polskiego, dopatrując się w symbolice znaczka propagandy antyniemieckiej. Ówczesne Ministerstwo Poczt i Telegrafów wycofało pod tą presją część emisji, a po pewnym czasie ten sam znaczek ukazał się w wersji „poprawionej": krzyżackie miecze zastąpił ozdobny ornament. Polski znaczek przestał godzić w prestiż spadkobierców Zakonu Krzyżowego — hitlerowskiego Wehrmachtu...

> Jednym z największych wydarzeń filatelistycznych ostatnich czasów była światowa wystawa znaczków „Praga 1962". Była to pierwsza tego typu impreza, na której pokazano zbiory filatelistów z obu półkul. Do stolicy CSRS nadesłano pół miliona znaczków należących do zbieraczy z 84 państw. Najcenniejszym okazem na „Pradze 1962" był nie „Czarny Penny", lecz wydany wcześniej o 10 lat znaczek z Gujany Brytyjskiej. Właściciel ubezpieczył go... na 150 mln. koron czechosłowackich. Polskie Muzeum Poczty i Telekomunikacji oraz zbiory 63 indywidualnych kolekcjonerów reprezentowały Polskę na tej światowej wystawie. Ciekawe, że tematy polskie można było spotkać również na znaczkach innych państw. Np. India wydała znaczek z podobizną Marii Curie-Skłodowskiej.

MILIONOWA RODZINA

Filatelistyka. W encyklopediach przy tym haśle znajdziecie wytłumaczenie, że: „jest to zbieranie znaczków pocztowych". Już w roku 1864, a więc w 24 lata po ukazaniu się pierwszego znaczka, francuski zbieracz Herpin sformułował międzynarodowy termin — „filatelia", który oznacza zamiłowanie do zbierania znaczków pocztowych. Rzecz przestaje pachnieć „konikiem" starszych panów, a zaczyna być bliska jakiejś całej dziedzinie wiedzy, gałęzi naukowej, gdy dodam, że pod pojęciem filatelistyki rozumie się także ogół wiedzy i wiadomości o znaczkach i stemplach używanych w toku służby pocztowej.

Trudno powiedzieć ilu jest naprawdę, ale warto przytoczyć liczbę zaczerpniętą z „The World Almanac 1962" wydanego przez amerykańskie czasopismo „New York World-Telegram". Autorzy stwierdzają, że filatelistów a więc ludzi zbierających znaczki pocztowe — jest na świecie około 50 milionów. Z tego na same Stany Zjednoczone przypada 12 milionów, na państwa zachodniej Europy około 20 milionów, wreszcie pozostałe 18 milionów zbieraczy mieszka w pozostałych częściach świata. Należy jednak dodać dla wyjaśnienia, że w liczbach tych mieszczą się tylko osoby zbierające znaczki pocztowe — rzec tak można — w sposób zorganizowany. Ci, którzy należą do różnego rodzaju zarejestrowanych klubów filatelistycznych względnie też narodowych związków zbieraczy znaczków pocztowych. Jak bardzo są to jednak przybliżone liczby świadczyć może przykład polski.

Do Polskiego Związku Filatelistów, którego tradycje sięgają lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, należy oficjalnie około 40 tys. osób. Ludzie znający jednak przedmiot twierdzą, że liczba filatelistów w naszym kraju jest w rzeczywistości większa 4 do 5 razy i waha się w granicach 150—200 tysięcy osób! Jest to bardzo prawdopodobna ocena, jeśli się zważy, że wielu zbieraczy to ludzie bardzo młodzi, względnie też traktujący swoje hobby chałupniczo. No a teraz jeśli przyjmiemy tą poprawkę również dla reszty świata to rodzina filatelistów urasta do 200—250 milionów ludzi!

HOBBY, NAUKA, LEKARSTWO CZY... BUSINESS?

Już same rozmiary „konika" filatelistycznego spowodowały, że wielu naukowców — socjologów, pedagogów, lekarzy i ekonomistów zainteresowało się tym hobby. Wyniki tych badań są również niezwykle interesujące. Oto tylko niektóre z nich:

Uczeni szwedzcy stwierdzili, że młodzi ludzie zajmujący się zbieraniem znaczków odznaczali się w czasie nauki w szkole specjalnie jako świetni uczniowie w takich dziedzinach jak geografia i historia, wyróżniając się jednocześnie sporą wiedzą polityczną i oczytaniem.

Wykształcenie wśród filatelistów wyspecjalizowanych grup — np. zbieraczy znaczków o tematyce przyrodniczej, astronomicznej, kulturalnej czy sportowej wywołuje analogiczne zjawisko towarzyszące niejako filatelistyce — popytu na książki, reprodukcje obrazów, podręczniki i publikacje traktujące o wybranej przez zbieracza dziedzinie, co znowu podnosi walory intelektualne danego człowieka.

Lekarze — psychiatrzy w USA i krajach skandynawskich uważają, że filatelistyka może być... lekarstwem skutecznym w przypadku wszelkiego rodzaju psychoneurwic, gdyż daje współczesnemu człowiekowi możliwość odprężenia przy równoczesnym aktywnym wypoczynku.

To jedna strona medalu. Bardzo pozytywna.

I druga: dla wielu ten „konik" jest źródłem ciułania wcale niemałych fortun, często niezbyt czystymi sposobami.

Nie będę tutaj przytaczał znanych w światku zbieraczy znaczków pocztowych historii różnych międzynarodowych fałszerstw niezwykle cennych egzemplarzy znaczków, czy też głośnych mistyfikacji polegających na wydawaniu znaczków państw, które nigdy nie istniały. Głośna była np. historia pojawienia się na rynku małych ilości znaczków — unikatów rzekomego indyjskiego księstwa Brewang, czy też chińskiego Sedangu, albo też wydawania znaczków pocztowych przez właścicieli prywatnych wysepek. Ale dla zilustrowania sensacyjnej strony filatelistycznego hobby warto przypomnieć może dwa wydarzenia, którymi zajęły się organa śledcze.

Jedno z nich przydarzyło się w Krakowie, w pierwszych latach po II wojnie światowej, a jego tajemnica po dzień dzisiejszy nie jest do końca wyjaśniona. Bohaterem, a zarazem ofiarą był niejaki K. Przed wojną był to nikomu szerzej nieznany zbieracz znaczków pocztowych. W roku 1945 stał się on jednak potentatem wśród filatelistycznych tuzów, a wartość jego zbiorów oceniano przynajmniej na kilka milionów złotych. Swoją pozycję zawdzięczał temu, że przez przypadek stał się posiadaczem edycji znaczków tzw. „Generalnego Gubernatorstwa", przygotowywanych przez Niemców do wydania, a które nigdy nie trafiły do obiegu, bowiem do Krakowa wkroczyła Armia Czerwona. Pewnego dnia znaleziono K. zamordowanego, ze splądrowanymi kieszeniami, a w zaciśniętej dłoni trzymał pocztowy znaczek. Mordercy do tej pory nie wykryto...

I druga bardziej bliska w czasie historia.

Nie tak dawno światek filatelistyczny został zbulwersowany pojawieniem się na rynku znaczka z serii Wielcy Polacy — z podobizną Marii Konopnickiej. Była to odmiana w kolorze niebieskim, gdy w oficjalnie wydanej serii „Konopnicką" wydrukowano w kolorze zielonym. Znaczek posiadał wartość nominalną 60 groszy. Na rynku filatelistycznym za odmianę niebieską płacono po... kilkaset złotych! Dopiero dochodzenie przeprowadzone przez Ministerstwo Łączności oraz Polski Związek Filatelistyczny wykazało, że „niebieska Konopnicka" jest pospolitym falsyfikatem spreparowanym przez sprytnych i równocześnie świetnie zorientowanych w środowisku filatelistycznym oszustów. Niebieski kolor uzyskano poprzez „kąpanie" znaczków w znanym powszechnie środku chemicznym — „TRI". Jego właściwości pozwoliły zachować orginalną powłokę kleju na znaczku co bardzo często wyróżnia falsyfikaty od oryginałów znaczków pocztowych.

Świetna znajomość psychiki środowiska zbieraczy jest okazją dla ludzi obrotnych i sprytnych do robienia niemniej świetnych interesów i czerpania z tego hobby wcale niezłych dochodów. Wiadomo przecież, że zapalony zbieracz odejmie sobie od ust, byle tylko nabyć upragniony egzemplarz unikalnego znaczka.

Na tym właśnie tle dochodzi do różnych nadużyć. Kontrola przeprowadzona w ubiegłym roku w niektórych terenowych oddziałach Polskiego Związku Filatelistycznego, wykazała, że z zagwarantowanego prawa pierwszeństwa zakupu niektórych specjalnie cennych egzemplarzy i emisji znaczków pocztowych korzystały osoby do tego zupełnie nie uprawnione, względnie też zamiast jednego przysługującego egzemplarza nabywały po pięć! Emisje te trafiały następnie na rynek, gdzie wobec dużego popytu i małej w dodatku „scentralizowanej" podaży, osiągały wielokrotnie wyższe ceny od nominalnych. Za przykład może tutaj służyć tzw. „czarna" emisja znaczka z podobizną Włodzimierza Lenina, który niewielu tylko filatelistów widziało! Wyszedł on w Polsce...

Bardzo podobna jest też historia ze sztucznym windowaniem w górę cen wolnorynkowych na znaczki niektórych krajów demokratycznych. Minimalny napływ tych znaczków do sklepów Państwowego Przedsiębiorstwa Filatelistycznego, a z drugiej strony duże zapotrzebowanie, a co za tym idzie bardzo wysokie ceny na rynku na te znaczki otwierało i otwiera pole do różnych nadużyć i nielegalnych zarobków personelowi placówek PPF.

Nie bądźmy jednak zbyt przesadni i nie obarczajmy filatelistyki wszystkimi

> Polskie zbiory znaczków pocztowych będą eksponowane w roku 1963 na siedmiu wystawach międzynarodowych. M. in. weźmiemy udział w Międzynarodowej Wystawie „Socfilex 1963", którą organizują Węgry, najmłodsi polscy filateliści pokażą swe zbiory na wystawie „dziecięcej" w Ulm (NRF). W kalendarzyku wystaw filatelistów polskich znajdują się również — tematyczna wystawa znaczków lotniczych „Aerophilia 63", która odbędzie się w Brukseli, międzynarodowe spotkanie filatelistów — „Istambuł 63" wreszcie „Scolatex II", której gospodarzem będzie księstwo Monaco. Natomiast w październiku br. Polski Związek Filatelistów urządzi we Wrocławiu wielką europejską wystawę znaczków o tematyce sportowej.

> Nie tak dawno doszło w światku filatelistycznym do sensacji, którą śmiało można łączyć z detronizacją. Otóż jeszcze do maja br. za najdroższy znaczek świata uchodził egzemplarz brytyjskiego „Mauritiusa". 29 maja, na aukcji w Nowym Jorku nie stemplowany znaczek poczty misyjnej na Hawajach wartości nominalnej 2 centy zdetronizował „Mauritiusa" osiągając cenę sprzedaży 41 tysięcy dolarów. Licytację rozpoczęto od 20 tys. dolarów. Nabywcą jest amerykański filatelista milioner z Nowego Orleanu — Raymond Weilla. Tragiczne są losy poprzednich właścicieli „Hawajów". Jeden został zamordowany, drugi zginął w tajemniczych okolicznościach, a przedostatni zmarł w nędzy... nie chcąc się wyzbyć znaczka!

Dalszy ciąg na str. 6

Polityka też trafia do filatelistyki. Po lewej znaczek wydany w NRD symbolizujący granicę przyjaźni na Odrze i Nysie. Po prawej datownik, którym stemplowano znaczki z okazji „Dnia Górnoślązaków" w Düsseldorfie (NRF).

BERNARD SZTAJNERT

MODLITWA

Małe słowo, przyjdź do mnie, wielkie słowo odejdź.
Zginą słowa ogromne, pozostaną wiersze;
Zasnę w nocy i przyśnię dla bezsennych odpowiedź.
Małe słowo, przyjdź do mnie, słowo słowo najmniejsze.

ANTYGONA

A kiedy Kreon płakał, bo płakał na pewno,
Gdy zabronił pogrzebu, by umarło Imię
(Miał ze śmiercią pod strażą niepamięć służebną),
Pogrzebały już prochy łzy Kreona olbrzymie.

ANDRZEJ i ŚMIERĆ

Mój Andrzej jest poetą, nie dostał mieszkania.
Każdym bezdomnym wierszem, przed śmiercią was broni.
Mój Andrzej jest poetą, załatwcie podanie,
Dajcie mu już mieszkanie i nie myślcie o Niej.

DRZWI

Spacer, mała ulica, na spodniach z clany
Róże, co w zakurzonych ogrodach się kręcą
I na schodach przeciekła w szklistość porcelany
Skorupka jajka — wejdź słuchając chrzęstu.

PIOTRKOWSKA

Noc. Piotrkowska umiera, spada w nicość bramą
Jak Marylin Monroe zadręczona sławą;
Piotrkowska bez Piotrkowa. Noc przy pustym kinie,
Kino przy pustej nocy — bo to nie to samo.

NIC

Bardzo proszę Was: ślepcze, który wiersze chwalisz,
Ciebie, głuchy, co wiersze poruszasz i bronisz,
Co nie słysząc widzieli, co nie widząc słuchali,
Bardzo proszę was wszystkich, bardzo proszę o nic.

BRACTWO „CZARNEGO PENNY"

Dalszy ciąg ze str. 5

ciemnymi stronami naszego życia. Ostatecznie wszędzie znajdą się ludzie, którzy lubią łowić ryby w mętnej wodzie.

ZNACZKI, A „SPRAWA POLSKA".

Nie kpijcie z tego powiedzenia. Nie tylko księstwo Monaco albo też inna Andora utrzymują się z edycji znaczków pocztowych. Mogą one rzeczywiście stanowić bardzo poważne źródło dochodów dla skarbu państwa, i to nie tylko dochodów wyrażających się w naszym przypadku złotówkami, ale nawet ciężkimi dewizami. Oto konkretne fakty: jak podaje w swojej pracy Zygmunt Zonik obroty Państwowego Przedsiębiorstwa Filatelistycznego na przestrzeni ostatnich kilku lat gwałtownie wzrastały i o ile w roku 1954 wynosiły 5 mln. zł to już w roku ubiegłym osiągnęły... 109 mln. zł! Po stronie eksportu, jako, że znaczki pocztowe są także sprzedawane za pośrednictwem jednej z central handlu zagranicznego na obcych rynkach, uzyskaliśmy w roku 1954 około 1 mln. zł dewizowych, a w 8 lat później już 10,5 mln. zł dewizowych.

Myślę, że po tych przykładach i faktach już nie śmiejecie się z tego, że łączę filatelistykę, zbieranie i wydawanie znaczków pocztowych, z tym, co umownie nazwałem „sprawą polską". Filatelistyka okazuje się jeszcze jednym źródłem — i to złotodajnym dla naszej gospodarki, jeżeli tylko będziemy umieli wykorzystać wszystkie szanse jakie się w niej kryją.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Prawda o naszych kobietach

Dalszy ciąg ze str. 1

ła do torby, aby broń boże nikt nie powiedział, że u „Marchlewskiego" nie dba się o dewizowe surowce. A obrady były dziwne — na sali siedziało wśród tłumu kobiet również kilkudziesięciu mężczyzn: działacze związkowi, przedstawiciele miasta, nawet dwaj wiceministrowie, nawet poseł. Ale żaden z nich nie zabrał głosu. Przez cały ten dzień mówiły kobiety, bo to były ich obrady, o ich sprawach.

Zresztą czuło się w tej męskiej grupie uczestników plenum CRZZ małe zażenowanie: pod niebem pobiła ich na głowę kobieta! A przecie mężczyźni do niedzieli poprzedzającej te obrady, mieli przewagę w statystyce, mówiącej o rozkoszy władzy: kierownicze stanowisko w naszym kraju zajmuje jedna kobieta na 300 posiadających wyższe wykształcenie, a wśród mężczyzn z dyplomem takie stanowisko przypada już na 25. W niedzielę liczby zaczęły pracować na korzyść kobiet, bo jedna z nich wyleciała w kosmos zaledwie po kilku próbach dokonanych przez mężczyzn.

* * *

Więc po cichu, aby nie przeszkadzać w obradach, ucięliśmy sobie z posłem rozmówkę o przedszkolach. Prasa pisała (mówił poseł), że dla paru tysięcy dzieci brakuje miejsc w przedszkolach i ich matki mają z tym wiele kłopotów, bo jak tu pogodzić wychowanie pociechy z obowiązkami na fabrycznej zmianie. Ale znów (mówiłem) — gdyśmy zaczęli agitować za stworzeniem przedszkoli prywatnych, to zabrakło chętnych, bo opieka w nich była nie za darmo, jak w przedszkolach państwowych, a za 300 zł miesięcznie. I myśmy (na to poseł) zorganizowali przedszkole, nawet jeszcze tańsze — i ten jednak wysiłek nie dał rezultatu. Zgłoszeń nie było wiele. Więc może sprawa polega na czym innym?

Doszliśmy do wniosku, że w Łodzi np. wiele dobrego zdziałałyby zwykłe ogródki jordanowskie, dokąd przychodziłyby dzieci przyprowadzane przez babcie-emerytki. Babcia usiadłaby sobie na ławce, porobiła na drutach, od czasu do czasu popatrzyła na wnuczka bawiącego się pod opieką wychowawczyni, poczytała „Przyjaciółkę". Bo w wielu domach, ciasnych jeszcze, złych pomieszczeniach i klitkach te babcie i tak muszą pilnować dzieci, których rodzice są w fabryce — by nie wyskoczyły na ulicę pod przejeżdżający tramwaj czy samochód, by nie wypadły przez okno facjatki. Więc dla nich i dla wielu matek w Łodzi taki słoneczny ogródek jordanowski, w którym babcia zażywałaby słońca a dzieci zabawy — byłby prawdziwym skarbem.

Doszliśmy też w rozmowie z posłem do wniosku, że tak czy owak — sprawy opieki nad dzieckiem kobiety pracującej w Łodzi należałoby zbadać szczególnie wnikliwie. Powinn na ten temat wypowiedzieć się nie tylko wychowawcy i dyrektorzy fabryk, nie tylko specjaliści — związkowcy czy Liga Kobiet, ale i socjologowie. Jeden z nich, prof. dr Piotrowski, napisał pierwszą w Polsce książkę o kobiecie pracującej zawodowo i teraz — gdyśmy dyskretnie rozmawiali z posłem o przedszkolach łódzkich — zażywał zasłużonej sławy na sali obrad. Jego nazwisko padło wraz ze słowami uznania z trybuny mówców. Hołd socjologii i autorowi składała „rozsądna babka" (jak mi powiedziano w kuluarach) czyli pani Aszkenazy, sekretarz Zarządu Głównego Ligi Kobiet. Ale przecież na tym tle ujawnił się paradoksalny problem. Powstają oto już w naszym kraju mądre naukowe dzieła o kobiecie pracującej, a jednocześnie dla wielu dyrektorów i naczelników prawdziwą „zmorą" jest kobieta pracy w ciąży. Jeśli rodzi żona dyrektora czy naczelnika, to wszystko w porządku, ale gdy jego pracownica — to już cały „dramat".

Więc sprawę postawiono otwarcie: dyrektorzy! zacznijcie patrzeć na konieczność rodzenia dzieci przez kobiety choćby tak samo, jak na... służbę wojskową mężczyzn! A zresztą — w ciągu półrocza w naszym kraju tylko 3% kobiet pracujących zawodowo zwalnia się na urlop macierzyński. Dlaczego więc zaraz tyle szumu wokół kobiety rodzącej?!

* * *

Z trybuny padały słowa, setki słów, tysiące. Nie dlatego, że kobiety lubią sobie pogadać, ale że na tym babskim sejmie trzeba było wreszcie powiedzieć sobie o wszystkim. Tak więc już po kilku tysiącach słów dowiedzieliśmy się, że sytuacja kobiety pracującej zawodowo w Łodzi nie jest najgorsza w porównaniu z innymi ośrodkami, że w wielu ośrodkach, w wielu przemysłach i zawodach powodzi jej się znacznie gorzej. Z uczuciem zazdrości niektóre delegatki słuchały na przykład tego, o czym mówiła łódzka posłanka Juszczyńska. Gdy się słuchało, ile czego kobiety w tej fabryce w ciągu ostatnich kilku lat otrzymały (żłobki, mieszkania, ośrodki wypoczynkowe, opieka lekarska itp.) naprawdę było czego zazdrościć.

Bo tymczasem okazuje się, że w takich Mysłowicach na Śląsku ani jeden zakład pracy nie urządził jeszcze gabinetu lekarskiego czy poradni dla kobiet, że w Kielcach jest fabryka i w niej 800 kobiet również pozbawionych normalnego kontaktu z lekarzem, że w Poznańskiem...

W Poznańskiem kobiet nieuświadomionych jest jeszcze wiele. Wolą klepać biedę i siedzieć w domu „przy mężu", niż pójść do pracy. Fala produktywizowania się mężatek przepływa przez całą Polskę, wszędzie coraz bardziej odczuwa się brak dostatecznej ilości miejsc pracy dla kobiet — tylko w Poznańskiem jest ponad 1000 wolnych miejsc czekających na kobietę.

Może to skutki mdłej filozofii życia wyznawanej kiedyś przez niemieckie mieszczaństwo, które w przeszłości nie pozostawało bez wpływu na mentalność Wielkopolanek? W każdym razie wolą z trudem wiązać koniec z końcem, byle nie iść do pracy. Trzeba by więc może tym kobietom stroniącym od produktywizacji (nie tylko zresztą im — bo i wielu łodziankom „przy mężu" by się to przydało) sprawę wyjaśnić rzeczowo: jeśli w tej chwili w Polsce pracuje zawodowo 8 razy więcej mężatek niż pracowało przed wojną, to przecież nie tylko dlatego, że praca żony poprawia budżet domowy, nie tylko dlatego, że w sklepach tyle już jest cudów współczesnej techniki do nabycia na raty i za gotówkę.

Do dziś w NRF trąbi się o „cudzie" gospodarczym, który zapewnił temu krajowi wysoką stopę życiową, a przecież przy tej wysokiej stopie i w NRF obserwujemy szeroką falę produktywizacji mężatek. Tuż po wyjściu zamąż czym prędzej szukają sobie pracy, pragnąc się usamodzielnić, uniezależnić. I w USA mężatka pracująca zawodowo jest zjawiskiem masowym. Więc chyba nie tylko względy ekonomiczne — jak to czasem usiłujemy uzasadniać pęd kobiet do pracy — ale wymowa czasu, w którym żyjemy, ale objaw powszechnego dążenia do życiowej niezależności i wolności. Nigdzie bowiem tak jak w pracy nie urzeczywistnia się ten odwieczny i podstawowy głód. I tę prawdę w ostatnich latach zrozumiały również kobiety.

* * *

Ale mężczyźni zarabiają u nas znacznie więcej niż kobiety. W grupie zarobków od 601 do 1000 zł kobiet mamy w tej chwili aż 26 proc., gdy wśród ogółu zatrudnionych zarabia tyle jedynie 4 procent pracowników. W grupie od 3001 do 5000 złotych znajduje się tylko 1,2 proc. kobiet pracujących, podczas gdy ogółu pracowników tyle zarabiających jest już 7,9 proc.

Wiadomo, że mężczyźni chwytają nieraz dodatkowe prace i półetaty, że całymi latami kładą się spać dopiero o 2—3 w nocy, byle tylko „dorobić", byle w terminie wykonać zlecone roboty. Wiadomo też (o czym np. świadczą dane z sanatorium dla sercowo chorych w Inowrocławiu), że zawały serca to domena wybitnie męska. A zawały są najczęściej z przemęczenia, z długotrwałego braku odpoczynku, z ustawicznego stanu napięcia w układzie nerwowym człowieka.

Ale mężczyźni zarabiają więcej nie tylko dlatego, że częściej „zabijają się" dodatkowymi obowiązkami, że pracują więcej. Pełne szanse kobiecie w zrównaniu się zarobkowym może przynieść bowiem jedynie szybkie podniesienie poziomu kwalifikacji kobiety i jej ogólnego wykształcenia.

Dziesiątki tysięcy kobiet uczy się w tej chwili w Polsce zawodu, kończy szkoły przyzakładowe, uzupełnia braki w wykształceniu. Im zaś szybciej uzyskają kwalifikacje — tym lepiej i dla nich i dla gospodarki, czekającej na nowych mechaników precyzyjnych, techników, monterów, teletechników itp. Te wszystkie miejsca czekają na kobiety — a jest przecież wśród nich jeszcze pół miliona takich, które pracują i zarabiają, ale szkoły podstawowej nie zdążyły dotąd ukończyć...

* * *

Jedna z kobiet wystąpiła z atakiem na nasz przemysł elektroniczny, mówiąc, że niektóre telewizory często się psują — że są złej jakości, że i pralki elektryczne pozostawiają wiele do życzenia, że przydałyby się dłuższe godziny pracy sklepów przemysłowych w czasie popołudniowym, po to, by łatwiej było dokonać zakupów...

Otrzymała za swe wystąpienie oklaski. Oklaskiwały ją i te młode robotnice, dla których otworzyły się bramy fabryk dopiero po ostatniej wojnie i te starsze, pamiętające jeszcze przedwojenne czasy. Ale te starsze biły brawa również z zachwytu nad życiem i przemianami, które w nim nastąpiły. Było wiele na tej sali u „Marchlewskiego" kobiet, które przed wojną walczyły w Łodzi i w innych okręgach przemysłowych ze zmorą eksmisji i z klęską „stempla", które strajkowały o kilka groszy podwyżki lub o prawo do pracy choćby przez dwa dni w tygodniu dla tysięcy towarzyszek wyrzuconych na bruk przez haniebny lokaut.

Więc biły brawo i cieszyły się, wspominając tamte czasy, że tamte czasy skończyły się i że teraz została tylko jeszcze walka o telewizor wyższej jakości i lepszej klasy, o sprawniejsze pralki i lodówki i o możność wydania pieniędzy w sklepie. Wydania — rozumiecie?

Nie dziwmy się jednak wypowiedzi o telewizorze. Nabiera on ostatnio w życiu kobiety coraz większego znaczenia, a tego dnia, gdy toczyły się obrady babskiego sejmu, jedna z takich jak one była widoczna na szklanym ekranie. Kilka lat temu stała jeszcze przez osiem godzin obsługując maszynę w fabryce włókienniczej w Jarosławiu, teraz spoczywała w rakiecie, uśmiechając się w swym hełmie kosmonautki i pozdrawiając z orbity okołoziemskiej kobiety całego świata.

A włókniarki od „Marchlewskiego" mówiły z dumą: — Wala, nasza dziewczyna, włókniarka...

FELIKS BĄBOL

„Co zdobyły kobiety „Marchlewskiego"? Własna spółdzielnia mieszkaniowa dała już mieszkania dla 390 rodzin, a z Funduszu Zakładowego uzyskało mieszkania dalszych 60 rodzin. Żłobki i przedszkola opiekują się 380 dziećmi naszych pracowników. Mamy własny ośrodek wypoczynkowy dla dzieci i ośrodek wczasów rodzinnych. Wydaliśmy naszym kobietom 1.200 par obuwia ortopedycznego...".

JADWIGA JUSZCZYŃSKA
poseł

„Partia i rząd robią wszystko, aby życie kobiety było coraz radośniejsze, ale przecież pełno jeszcze w jej życiu problemów...".

„Za mało robimy, by kobiecie ułatwić zdobywanie kwalifikacji i opanowywanie zawodów dotąd uważanych za „męskie", z których mężczyźni w wielu przypadkach mogliby dla dobra gospodarki narodowej odejść do innych zawodów".

„W przemyśle włókienniczym pracuje aż 66 proc. mężatek. Czy więc z uwagi na nasilenie problematyki socjalnej i na potrzeby wynikające z tego faktu nie należałoby przyznać pierwszeństwa w inwestycjach socjalnych tym ośrodkom, które jak przemysł włókienniczy, zatrudniają większość kobiet?"

„Stawiamy problem bezpłatnych urlopów dla kobiet po urodzeniu dziecka. Chodzi o okres pół- albo roczny, w którym kobieta pracująca mogłaby dziecko odchować należycie, nie obawiając się utraty swego miejsca pracy w zakładzie, z którego odeszła na urlop macierzyński".

IRENA SROCZYŃSKA
wiceprzewodnicząca ZG Włókniarzy

„Profilaktyczne badania ginekologiczne — mimo oporów w różnych środowiskach — dają bardzo pozytywne rezultaty. W wielu wypadkach wczesne wykrycie choroby u kobiety umożliwia szybkie jej wyleczenie. W Poznaniu np. w jednym tylko zakładzie pracy wykryto 4 wypadki wczesnego raka...".

* * *

„Brakuje miejsc w żłobkach również i w przemyśle metalowym...".

STANISŁAWA WARDA
przewodnicząca Komisji Kobiet Pracujących przy ZG Zw. Metalowców

„Na całym świecie — i w Związku Radzieckim, i w krajach kapitalistycznych z dumą pokazuje się przy lada okazji kobiety-ministrów i kobiety-dyrektorów... A u nas — gdy trzeba kobiecie powierzyć jakieś stanowisko kierownicze, to się ją „prześwietla" po 10 razy, zanim tę posadę dostanie...".

* * *

„Tysiące listów przychodzą do Rady Państwa, Ligi Kobiet i do radia — listów ze skargami na mężów-pijaków, mężów-brutali, ale wystarczy, że taki mąż-alkoholik, mąż-sadysta jest dobrym fachowcem w miejscu pracy, to cała sprawa upada, a takiego człowieka się chroni... Potrzebne jest większe zainteresowanie na terenie miejsca pracy sprawami rodziny, życia domowego kobiety...".

MARIA ASZKENAZY
sekretarz Zarządu Głównego Ligi Kobiet

EWA OSTROWSKA

HISTORIA OPTYMISTYCZNA

Działo się to trzy lata temu, we wsi Borzykówka. Trzydziestu dwóch młodych z koła ZMW postanowiło wybudować swój dom. Wspólny dom. Chcieli się po prostu spotykać, słuchać radia, czytać książki, uczyć się, pić kawę, tańczyć, śpiewać. Chcieli też żeby ludzie — i młodzi, i starzy przestali się nudzić, chcieli wieś Borzykówkę zbliżyć do świata, dlatego powiedzieli: wybudujemy.

Łatwo powiedzieć. Poszaleli ci z tego koła — śmiali się starsi. Patrzcie, jacy mądrzy, świat chcą przebudować, dom stawiać. Z czego? Za co? Albo to oni potrafią? Nawet zaplanować łatwo. Według planów koszt świetlicy miał wynosić sto dwadzieścia tysięcy. Kawał grosza takie pieniądze. Co innego zbierać pieniądze na radio, czy na stolik pod to radio. Ale sto dwadzieścia tysięcy? Skąd? Jak? Ta podśmiewywująca się z ich planów — i w oczy i poza oczami — wieś Borzykówka podaruje tyle pieniędzy? Z czego by zresztą mogła dać, jeżeli liczy w sumie sześćdziesiąt wcale niebogatych gospodarstw?

Ale piasek jest, więc pustaki można wylewać we własnym zakresie, własnymi też siłami można zniwelować teren, wykopać fundament i ściany postawić z tych pustaków, można deski heblować, papę założyć, okna wstawić. Wszystko można jeśli się bardzo chce. A trzydziestu dwóch młodych z Borzykówki bardzo chciało. I to już była połowa roboty. Zresztą, młodzież prędko przestały straszyć wielkie cyfry. Za imprezy organizowane przez nich do kasy wpływały jakieś tam pieniądze, zaś na pierwszy plan wysunęły się inne trudności. Potrzebne było pozwolenie na budowę oraz miejsce pod budowę. Zaczęto więc prosić o to miejsce, o trzydzieści arów. Długo, cierpliwie proszono Radę Narodową w Radomsku. Ale Rada, młodzieży nierada — nic — głucha cisza. Wreszcie Okręgowy Zarząd Lasów w Łodzi zmiłował się nad zapalczywą i przedsiębiorczą młodzieżą z Borzykówki. Dał 30 arów. Owszem, narzekać nie można, teren pod budowę jakby wymarzony, fantastycznie by tam budować ale na palach, zupełnie jak Wenecję. Okręgowy Zarząd Lasów w Łodzi ofiarował bowiem młodzieży 30 arów bagna i torfowiska.

Właściwie na tym mogłaby się skończyć historia świetlicy w Borzykówce. Młodzież — według wszelkich reguł powinna była powiedzieć — no to koniec. Chcieliśmy dać wsi swoją własną pracę — świetlicę, chcieliśmy, aby nasze życie i życie innych przestało być nudne, chcieliśmy państwu zaoszczędzić funduszy, byłaby jeszcze jedna świetlica w statystyce, niby mało, ale dla mieszkańców naszej wsi, to ogromnie wiele, to nieomal rewolucja, ale rzucono nam kłody pod nogi, więc nie, nasz projekt jest nierealny nie ma szans.

Myślę, że nawet gdyby tak młodzież powiedziała, znalazłoby się usprawiedliwienie dla jej rozgoryczenia. Ale trzydziestu dwóch młodych z Borzykówki nie załamało rąk, nie odwróciło się plecami do oświaty. Kpiono z nich w rodzinnej wsi, bo kpiono, potraktowano ich w powiecie jak fantastów, bo potraktowano, ale świetlica i tak będzie w Borzykówce.

No więc, jak przyszło wreszcie pozwolenie na budowę, i jak nareszcie Borzykówka dostała te 30 arów, 32 młodych wybudowało świetlicę w przeciągu dziesięciu dni. Wybudowało do ... dachu. Na dach zabrakło ośmiu tysięcy złotych. Drobna suma w porównaniu z ogólną wartością pracy młodzieży, którą specjalna komisja oszacowała na 72 tysiące złotych. Ale ponieważ już tej sumy koło ZMW nie miało skąd wziąć, a powiat nie dawał, świetlicowe mury niszczały przez zimę i przez wiosnę. Dwa lata kołatania, dziesięć dni budowy i znowu kilka miesięcy goryczy.

Tymczasem obudziła się Rada Narodowa w Radomsku i daje aż 60 tysięcy złotych na dokończenie budowy i na wyposażenie świetlicy. Świetlica gotowa będzie na 22 lipca. Czy potrzebne były te trzy lata szarpania i syzyfowych wysiłków.

Pytanie retoryczne. Nie ja na nie odpowiem. Myślę też, że nie potrzeba nawet tej odpowiedzi, na niewiele się ona przyda. Historia świetlicy w Borzykówce jest w sumie optymistyczna. Świadczy o pięknej postawie, młodzieży wiejskiej. I nie tylko młodzieży z jednej wsi Borzykówki. Gdyż — powiem więcej — historia Borzykówki jest typowa. Nie dlatego, że wszędzie młodzi napotykają na takie przeciwności, ale dlatego, że to właśnie młodzi coraz wyraźniej odgrywają naczelną rolę w przemianie polskiej wsi.

Mówimy o współczesnej wsi polskiej, że weszła ona w okres silnych przeobrażeń: społecznych, gospodarczych, obyczajowych, kulturalnych. Przeobrażeń, oczywiście, konfliktowych. Wieś jest od dłuższego już czasu terenem silnych, żywiołowych często konfliktów. Jeżeli w okresie „Młodego pokolenia chłopów" bunt młodzieży nosił charakter jednostkowy, to teraz konflikty na wsi przyjmują postać szerokich zjawisk społecznych, w których dominującą i naczelną rolę odgrywa cała młodzież. Oczywiście, inna jest kierunkowa tych konfliktowych zjawisk, jej ostrze skierowywuje się przeciwko tradycjonalnej opozycji, przeciwko tradycyjnemu zwyczajowi wiejskiemu, który wciąż przecież jeszcze rządzi wsią polską. Młodzi nie chcą tak żyć jak ich ojcowie. Wiedzą, jak można żyć lepiej i pełniej. Ojciec powiada: na rolnika uczyć się nie trzeba, bo to jest we krwi, dziedziczne, zaś młody: przeciwnie, trzeba i to koniecznie; ojciec powiada: nie zapiszę się do spółdzielni, bo to, co mam, to moje; zaś młody: a ja, przeciwnie, zapiszę się, bo w spółdzielni można lepiej gospodarować; ojciec powiada: mnie tam koń wystarczy, zaś młody: a mnie traktor potrzebny, bo lepiej, ekonomiczniej i szybciej, łatwiej przecież o ropę niż paszę.

W tych konfliktach rolę konstruktywną, świadomą w dążeniach, sprecyzowaną w zainteresowaniach odgrywa młodzież wiejska, przede wszystkim ta, która jest zorganizowana w Związku Młodzieży Wiejskiej. To ona dąży do „nowego", do zmiany tradycyjnego profilu życia na wsi we wszystkich jego dziedzinach.

Związek Młodzieży Wiejskiej w województwie łódzkim obejmuje prawie 50 tysięcy młodzieży. Zjawisko tym pozytywniejsze, że 60 proc. członków ZMW stanowi młodzież od lat 15 do 20. 36 tysięcy (75 procent) związanych jest bezpośrednio z produkcją rolną. W 1.642 pracujących obecnie Zespołach Przysposobienia Rolniczego (w roku 59 było ich zaledwie 387) działa prawie 15 tysięcy członków (w 59 roku było ich 3.500). ZMW prowadzi ponadto 291 Zespołów Przysposobienia Spółdzielczego, w których pracuje prawie 3 tysiące członków; 323 Brygady Ochrony Roślin, których półtora tysiąca członków w roku ubiegłym opiekowało się ponad dwoma tysiącami pól uprawnych; w 182 Szkołach Przysposobienia Rolniczego dokształca się prawie 6 tysięcy młodzieży wiejskiej.

W momencie, kiedy w centrum uwagi władz partyjnych oraz państwowych znajduje się zagadnienie szybkiej oraz skutecznej intensyfikacji rolnictwa, kwestia oświaty rolniczej wysuwa się zdecydowanie na plan pierwszy spośród innych czynników, działających w kierunku zmiany struktury ekonomicznej polskiej wsi. Podane liczby wystawiają obiektywne świadectwo udziałowi młodzieży w tych niezwykle ważkich procesach. Co prawda, suche liczby nie opowiedzą o tym, jak uciążliwie trzeba przekonywać starsze pokolenie wiejskie do „nowości technicznych", do nowych metod uprawy. Liczby nie opowiedzą o tym, jak mieszkanka pewnej wsi rzuciła się pod wychodzący w pole traktor, (jest teraz zresztą sama członkiem kółka rolniczego): bo to są owe konflikty, które nie dają ująć się w cyfry ani w żadne wykazy statystyczne. Ale, przecież, i statystyka jest potrzebna, aby lepiej zrozumieć, jaką funkcję spełnia młodzież współczesna w strukturalnej przebudowie wsi.

Związek Młodzieży Wiejskiej nie omija w swojej działalności żadnej dziedziny życia wiejskiego Rolnictwo, ekonomika są zagadnieniami naczelnymi lecz nie jedynymi. Zaniedbane od wielu pokoleń oblicze kulturalne wsi zaczyna się intensywnie zmieniać. Warunki, oczywiście, są wyjątkowo trudne i skomplikowane, ale nie od razu Kraków zbudowano. Na 546 świetlic istniejących w naszym województwie — 276 prowadzą wiejskie koła ZMW. Ponadto — 346 punktów bibliotecznych, 510 różnego typu zespołów artystycznych, 72 Koła Przyjaciół Biblioteki, 12 wiejskich klubo-kawiarni, 9 Klubów Wiejskiej Inteligencji, Klub Korespondencyjny Młodych Pisarzy Wiejskich, trudno, doprawdy wszystko tu wyliczyć. W ostatnim okresie 147 kół ZMW przystąpiło do budowy lub remontów lokali świetlicowych. Dwieście telewizorów zostało zakupionych z funduszy własnych, wypracowanych przez koła; w powiecie skierniewickim w 46 miejscowościach trwa kulturalna akcja pod kryptonimem „Szkoła"; siedem tysięcy mieszkańców wsi zwiedziło objazdową wystawę malarstwa, ponad 3 tysiące odczytów i prelekcji zostało zorganizowanych w ciągu tego roku w kołach, 242 festyny kulturalne, ponad 5 tysięcy członków ZMW, należy do Ludowych Zespołów Sportowych. 35 tysięcy członków ZMW jest czytelnikami bibliotek; liczby, liczby, liczby, imponujące przecież, za którymi kryje się ogromny wysiłek całej młodzieży Związku.

W samych tylko kursach oświatowo-politycznych w roku bieżącym uczestniczyło ponad 13 tysięcy słuchaczy. Dziewięć Powszechnych Uniwersytetów Młodzieżowych, prowadzonych przez ZMW, jest jednocześnie ośrodkami kulturalnymi w swoich powiatach. Szkoły Zdrowia, Kluby Dziecięce, które dla dwóch tysięcy dzieci wiejskich zastępują przedszkola, milion złotych wypracowanych w czynach społecznych — i jak tu omówić całą, wielokierunkową pracę Związku? Daję tu tylko małą próbkę tego, co robi on na wsi w jej codziennym życiu. Powodzenie zaś w pracy, sukcesy — a tych odmówić nie można — Związek zawdzięcza uporowi swojej młodzieży, jej aktywnemu świadomemu zaangażowaniu. Przytoczony na początku obraz ze wsi Borzykówka jest chyba najlepszym tego świadectwem. Taką właśnie młodzieżą może poszczycić się ZMW. I z taką młodzieżą można rzeczywiście wiele zdziałać.

BERNARD KEPLER

Wystawa POKONKURSOWA

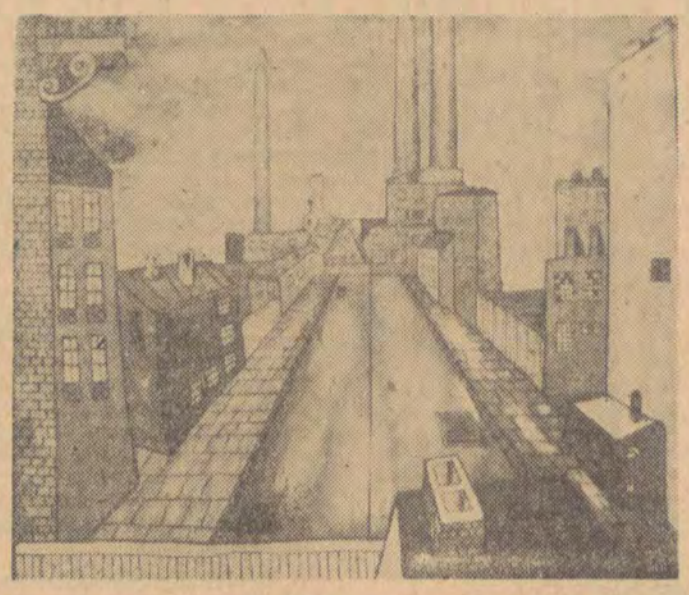

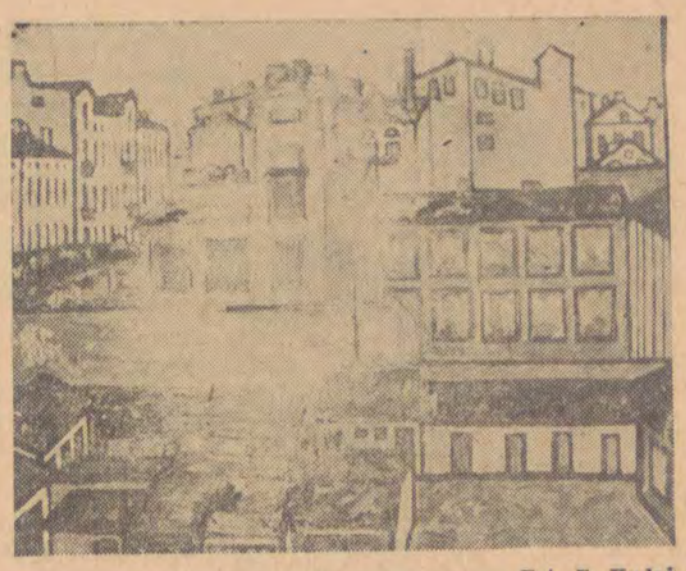

Fot. E. Kudaj

Pięknym akordem zakończyli łódzcy plastycy tegoroczny bardzo bogaty sezon artystyczny. Niedawno rostrzygnięte dwa kolejne konkursy plastyczne: na obraz sztalugowy oraz na rzeźbę pełnoplastyczną i płaskorzeźbę, okazały się znów wielkim sukcesem plastyki łódzkiej. Po skromniutkiej na ogół produkcji artystycznej minionych kilku miesięcy (niezbyt udana wystawa 1-Majowa oraz parę dość przeciętnych wystaw indywidualnych), pokonkursowa wystawa malarstwa i rzeźby w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza wypadła nadzwyczaj okazale. Nie przesadzę, twierdząc, że jest to niewątpliwie jedna z najefektowniejszych i najciekawszych ekspozycji, jakie oglądaliśmy w Łodzi w ciągu kilku ostatnich sezonów.

Kiedy przed dwoma laty Łódzki Okręg Związku Polskich Artystów-Plastyków przystąpił do organizowania pierwszych w naszym mieście konkursów plastycznych, sporo było wówczas głosów sprzeciwu — nawet w samym środowisku plastyków. Doświadczenie jednak wykazało, że pomysł był wyśmienity, bowiem wbrew zdecydowanie pesymistycznym prognostykom już pierwsze cztery konkursy dały zupełnie przyzwoite wyniki. Okazało się, że jedna wystawa pokonkursowa jest więcej warta i bardziej pożyteczna niż kilka zwykłych wystaw okolicznościowych. Udowodniła to zwłaszcza pamiętna wystawa „cztery konkursy", która mimo jeszcze wielu niedociągnięć i braków, była w swoim czasie wydarzeniem kulturalnym o poważnym dla miasta znaczeniu. Największą wadą dwóch pierwszych wystaw pokonkursowych była ekspozycja — chaotyczna, zbyt przeładowana, a co za tym idzie mało czytelna. Wynikło to stąd, iż organizatorzy nie uwzględniwszy beznadziejnej wprost ciasnoty „reprezentacyjnej sali wystawowej" Łodzi, zgrupowali na jednym pokazie prace nadesłane aż na cztery różne konkursy plastyczne. Nie muszę chyba przypominać, że w ten sposób eksponowane dzieła straciły przynajmniej połowę swej rzeczywistej wartości, co w efekcie odbiło się bardzo niekorzystnie na całości wystawy.

Obecna, trzecia z kolei wystawa pokonkursowa nie powtórzyła na szczęście błędów swych poprzedniczek. Obejmuje ona jedynie malarstwo i rzeźbę, zawężono ją do dwu tylko zestawów prac konkursowych. Zadecydowało to w poważnej mierze o samej ekspozycji, która stała się przez to bardziej przejrzysta i dostatecznie czytelna.

Oglądając jakąkolwiek wystawę zbiorową dokonujemy zwykle na wstępie swojego rodzaju sprawdzenia listy obecności, bowiem brak kilku określonych artystów decyduje często o wartości owej ekspozycji. Sprawa komplikuje się jednak, gdy mamy do czynienia z wystawą pokonkursową, która poza nielicznymi nagrodzonymi na konkursie pracami jest właściwie dla widza anonimowa. Z konieczności trzeba poprzestać na wyliczeniu artystów nagrodzonych na konkursach i najogólniejszej charakterystyce ekspozycji.

Ogółem eksponowano na tej wystawie 176 prac — 156 obrazów sztalugowych oraz 20 rzeźb pełnoplastycznych i płaskorzeźb. Sądząc z wysokiego poziomu nadesłanych na konkursy prac, nie zabrakło tu chyba nikogo z wybitniejszych łódzkich plastyków. Wyjątkowo interesująca jest zwłaszcza ekspozycja malarska. Dała ona wreszcie pełny obraz możliwości twórczych łódzkiego środowiska plastycznego. Znajdujemy tu bardzo dużo dobrze namalowanych obrazów. W przeciwieństwie do poprzedniej wystawy pokonkursowej nie ma tu prawie wyraźnie złych obrazów, co więcej — nawet prace przeciętne nie rzucają się zbytnio w oczy. Zdecydowaną większość stanowią dobre płótna, inteligentnie przemyślane, zrealizowane kulturalnie i ze znajomością rzemiosła. Wydaje się, iż „umiejętność estetycznego rozwiązania kompozycji malarskiej" stała się dla większości łódzkich malarzy rzeczą codzienną i powszechnie dostępną. Dziś, zdaje się już nie ulegać żadnej wątpliwości, że konsekwentne dążenie łódzkiego środowiska plastycznego do wypracowania nieskrępowanego przelotnymi modami własnego oblicza artystycznego zostało uwieńczone pełnym powodzeniem. Dodać tu warto, iż mój sąd o Łódzkim Okręgu ZPAP jako ośrodku plastycznym w pełni wykrystalizowanym i odrębnym, nie jest odosobniony. Podobną opinię wyraziło także jury obu konkursów, w którego składzie znaleźli się wybitni warszawscy i krakowscy plastycy, profesorowie ASP — A. Marczyński, M. Wejman, R. Pomorski i J. Wodyński — w konkursie malarskim oraz J. Bandura, T. Łodziana i F. Masiak — w konkursie rzeźbiarskim.

Rozstrzygnięcie konkursu na obraz sztalugowy przyniosło miłą niespodziankę. Wśród wyróżnionych artystów — obok malarzy o trwałym i uznanym dorobku artystycznym — znaleźliśmy sporo nazwisk plastyków najmłodszej generacji, którzy stosunkowo niedawno debiutowali. Pozwala to spokojnie patrzeć w przyszłość łódzkiej plastyki. Największe uznanie jury konkursu znalazły prace Benona Liberskiego i Michała Gałkiewicza, którym przyznano dwie równorzędne pierwsze nagrody. Trzy drugie przypadły w udziale Barbarze Szajdzińskiej-Krawczyk, Helenie Strzyż-Garbolińskiej i Krystynowi Zielińskiemu. Dwie trzecie nagrody otrzymali: Stefan Wegner i Franciszek Kubiak. Ponadto przyznano 11 wyróżnień. Otrzymali je: Stanisław Byrski, Michał Gałkiewicz, Jadwiga Głowacka, Zdzisław Głowacki, Jerzy Krawczyk, Krystyn Zieliński, Stanisław Fijałkowski, Wiesław Garboliński, Stefan Wegner oraz dwukrotnie Tadeusz Strusiak.

Konkurs na rzeźbę oraz płaskorzeźbę nie przyniósł większych rewelacji i raczej zawiódł. Skromny, bo tylko 20 prac liczący pokaz rzeźby odbiegł niestety daleko od poziomu ekspozycji malarskiej. Najlepszy dowód, iż jury przyznało tylko cztery nagrody i to bez zróżnicowania na stopnie.

Trzy równorzędne nagrody za rzeźbę otrzymali: Antoni Biłas, Włodzimierz Ciesielski i Michał Gałkiewicz. Ponadto wyróżniono jeszcze rzeźbę Włodzimierza Ciesielskiego. W konkursie na płaskorzeźbę nagrodę przyznano Antoniemu Starczewskiemu, wyróżniono zaś Krystynę Dąbrowską-Szadkowską oraz Franciszka Sługockiego.

TADEUSZ SZEWERA

NIEZWYKŁE DZIEJE JOANNY ŻUBR

We wrześniu 1852 roku szła ulicami Wielunia ku cmentarzowi żałobna procesja. Poprzedzało ją kilku mężczyzn na czarno ubranych, uginających się pod ciężarem trzech krzyży. Błagalne modły i pieśni towarzyszące idącym, napełniały trwogą miasto od pierwszych dni sierpnia tegoż roku dziesiatkowane przez epidemię cholery. Te trzy krzyże miały ocalić żyjących od śmierci. Wkopano je na cmentarzu i długo a żarliwie modlono sie u ich podnóża wierzac, że Bóg oddali straszną klęskę...

W końcu września epidemia poczęła wygasać.

Tak mniej więcej można sobie wyobrazić, na podstawie legendy opowiadanej przez wielunian, ową „czarną procesję", która szła w 1852 roku ulicami na intencję ocalenia miasta. A tymczasem śmierć zbierała żniwo.

W jednej z ksiąg parafialnych, których zaledwie nieliczne egzemplarze uratowano z pożogi wojennej (w czasie II wojny światowej kościół parafialny doszczętnie spłonął), natrafiłem na indeks zmarłych w roku 1852. Gruba kreska przerywa ten rejestr przy liczbie porządkowej 67 z dnia 4 sierpnia. Czyjaś ręka, może księdza lub może organisty, napisała nad nią dwa słowa: „Morts cholera" *). Dalej następują nazwiska 264 osób zmarłych na tę straszną chorobę w ciągu dwóch tylko miesięcy. Przy liczbie porządkowej 331 tym samym charakterem pisma odnotowano: „Finis cholere".

Na cmentarzu w Wieluniu, przy głównej alejce opodal bramy wejściowej, zauważyć można grób, na pomniku wyryto napis:

„JOANNA ŻUBR MARKIETANKA WOJSK POLSKICH ORDERU WIRTUTI MILITARI ZMARŁA W CZASIE CHOLERY 1852 R. W WIELUNIU PRZEŻYWSZY LAT 80. PAMIĄTKĘ CHRZESTNEJ MATCE — PIOTR DOBROWOLSKI PROSZĄC O ZDROWAŚ MARYJA".

W księdze parafialnej z roku 1839—1852 „Liber Metrices Mortuorum Ecclesis Collegiate Vieluniensis", do której wpisywano akta zgonów, odnalazłem również nazwisko Joanny Żubr. Sędziwa markietanka była piątą ofiarą rozszerzającej się gwałtownie epidemii. Akt jej śmierci opatrzono liczbą porządkową 71.

„Działo się to w mieście Wieluniu 1852 roku dnia 29 lipca: (co ta data oznacza, nie umiem wyjaśnić — przyp. autora) — 10 sierpnia o godzinie czwartej po południu stawili się Wincenty Drabikowski lat pięćdziesiąt i Aleksy Pawłowski lat siedemdziesiąt liczący, zamieszkali w Wieluniu i oświadczyli nam, że dnia 9 bież. miesiąca i roku o godzinie drugiej po południu umarła Joanna Żubrowa, wdowa, emerytka, lat osiemdziesiąt licząca, zamieszkała w Wieluniu. Po przekonaniu się naocznie o zejściu tejże akt ten stawającym przeczytany i przez nich podpisany został. (—) Wincenty Drabikowski (—) Aleksy Pawłowski (—) podpis księdza nieczytelny".

Zdawałoby się, że nie ma w tym akcie zgonu nic nadzwyczajnego. Spisano podobnych w treści dokumentów w owym czasie 264. A jednak posiada on, w pewnym sensie, historyczne znaczenie. Potwierdza bowiem śmierć kobiety, której sława wybiegała wówczas daleko poza Wieluń i obwód wieluński. O wyczynach Joanny Żubrowej mówiło się w całym Królestwie Kongresowym.

Tymoteusz Lipiński w swoich „Zapiskach z lat 1825—1831" (wydanych drukiem w roku 1883 przez Kazimierza Bartoszewicza, który książkę przygotował do druku i opatrzył przypisami), we wrześniu 1829 roku (strona 161—162 przyp. autora) odnotował również, obok innych ważnych wydarzeń, spotkanie z Joanną Żubr w Warszawie:

„Widziałem też w tych dniach panią Żubr i z poszanowaniem spoglądałem na jej oznakę honorową, to jest srebrny krzyż wojskowy polski. Zaszczycona nim została 1809 r. w pamiętnym zdobyciu Zamościa, należała bowiem do pierwszych, którzy weszli na wały. Mąż jej był podoficerem w 2-gim pułku piechoty; towarzyszyła mu przebrana po męsku. Od lat kilku mieszkają w obwodzie Wieluńskim, gdzie mąż ma posadę nadleśnego. Dwa lata temu jak wyzwała była na pojedynek komisarza obwodowego, ujmując się za urazę wyrządzoną mężowi. Głośna była ta awantura, ale pojedynek nie przyszedł do skutku".

Już z tych kilku zdań możemy sobie wyobrazić tę kobietę, która większą część swego życia spędziła na biwakach żołnierskich i polach bitewnych. Przetrwało to jej burzliwe życie do naszych czasów w strzępach legendy, coraz mniej znanej zwłaszcza młodym mieszkańcom Wielunia; przetrwało w pamiętniku, którego fragmenty drukowano w „Magazynie dla kobiet — Księga Świata" w roku 1860 — (a więc w osiem lat po jej śmierci), i wreszcie w powieści Wacława Gąsiorowskiego „Huragan" — (pierwsze wydanie książkowe ukazuje się w roku 1902, wcześniej powieść publikowana jest w odcinkach w „Dzienniku dla wszystkich" na przestrzeni lat 1900—1901 — przyp. autora). Kto czytał tę III-tomową powieść, ten na pewno śledził z zapartym tchem i ogromną sympatią losy Macieja Żubra i jego żony Joanny Żubrowej, kobiety niesłychanie wojowniczej, odważnej, niekiedy może grubiańskiej i zawadiackiej, ale przecież ogromnie sympatycznej. I jakkolwiek pisarz na pewno przypisał tej postaci wiele cech i barw fikcyjnych, to przecież nie ulega wątpliwości, że w wielu wypadkach nie odbiegł daleko od prawdy. Musiała to być waleczna kobieta skoro zasłużyła na krzyż Virtuti Militari nadany jej w 1809 roku za wdarcie się po drabinie na mury Zamościa, bronionego zaciekle przez Austriaków. Ten wyczyn Joanny Żubrowej i jej współtowarzyszy przechylił szalę zwycięstwa na stronę wojsk Księstwa Warszawskiego.

Jerzy Łojek, w swej pracy zatytułowanej „Prawdziwe dzieje bohaterów „Huraganu" — opublikowanej w nr 2 magazynu historycznego „Mówią Wieki" z roku 1961 — (pracy skądinąd bardzo ciekawej, ale w pewnych punktach wątpliwej, zwłaszcza w świetle odnalezionych przeze mnie aktów zgonu małżonków Żubrów) — przytacza dwa bardzo interesujące dokumenty, charakteryzujące zarówno osobowość małżonków Żubrów, jak i zasługi Joanny Żubrowej. Pozwalam sobie zacytować te dokumenty. Pierwszy, to fragment wspomnień któregoś z pamiętnikarzy — (niestety Jerzy Łojek nie podaje źródła) — mówiący o popularności tej żołnierskiej pary małżeńskiej w ówczesnym wojsku polskim:

„Maciej Żubr wesoły, towarzyski, wylany dla kolegów, częstokroć nie tylko swój, ale i żony żołd przechulał: stąd naturalnie powstawały małe małżeńskie swary: sierżant Żubr czynił ostre wymówki porucznikowi Żubrowi, a ten, ażeby mieć rychlej spokój, uciekać się niekiedy musiał do powagi swojego stopnia, to jest po prostu aresztował sierżanta Żubra za brak subordynacji i za okazane nieuszanowanie dla porucznika Żubra..."

Oczywiście porucznikiem — jak podaje Jerzy Łojek — był Maciej Żubr, sierżantem zaś Joanna Żubrowa — „rzecz na owe czasy niezwykła".

Drugi dokument, który przytaczam z pracy Jerzego Łojka, to zawiadomienie opublikowane w „Gazecie Warszawskiej" z dnia 3 czerwca 1817 roku. Było to już w czasach, gdy Joanna i Maciej Żubrowie porzucili służbę wojskową i osiedlili się w obwodzie wieluńskim. Widocznie jednak na dworze cara Aleksandra I, „konstytucyjnego monarchy w Królestwie Polskim" nie znano jeszcze miejsca zamieszkania byłej markietanki, skoro owo obwieszczenie zaczynało się od słów:

„Obwieszcza się niewiadomej z teraźniejszego swego pobytu Joannie Żubr, byłszej sierżantem w wojsku polskim, iż Najjaśniejszy Pan wyrokiem swym z dnia 30 marca (11 kwietnia) r.b. wydanym, wynagradzając łaskawie przykładne sprawowanie się, świetną odwagę i poświęcenie się wyższe nad jej płeć, raczył jej wyznaczyć tymczasową gratyfikację. Zechce się więc wspomniana Joanna Żubr stawić osobiście w Sekretariacie Generalnym Komisji Rządowej Wojny, gdzie wręczoną jej zostanie rezolucja, za okazaniem której przeznaczoną sobie gratyfikację z kasy generalnej krajowej odbierze. W Warszawie d. 3 czerwca 1817. Szef Biura w Komisji Rządowej Wojny Gołembowski".

Byłem niedawno w Wieluniu i notowałem wszystko, co o Joannie Żubrowej wiedzą mieszkańcy tego miasta. Przy ulicy zwanej imieniem markietanki — (skrzyżowanie ulic: Śląskiej, Szkolnej i Joanny Żubr — naprzeciw Ogólnokształcącego Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki) — oglądałem domek opatrzony nr 1. Tu mieszkała i tu umarła Żubrowa. Rozmawiałem z rodziną p. Burchacińskiego, którego rodzice byli właścicielami tego domku w czasach, kiedy Joanna Żubrowa zajmowała mieszkanko z balkonem na pięterku... U prof. Czesława Aurlicha czytałem list nadesłany z Londynu przez byłego wielunianina dra Józefa Jasnowskiego, obecnego kustosza British Museum, w którym kilka zdań poświęca on Joannie Żubrowej opierając się na materiałach ze wspomnianego muzeum. Pisze on m. in. tak:

„Urodzona w roku 1776 gdzieś na Podlasiu była w wojsku markietanką i odznaczyła się przy zdobyciu twierdzy wdrapując się jako pierwsza na wały. Jej mąż był nadleśniczym w którymś z lasów koło Wielunia i stąd jej związek z naszym miastem. Materiałów historycznych jest o niej sporo... Żubr znana była w okresie Królestwa Kongresowego z różnych wyczynów, między innymi wyzwała na pojedynek jednego z ziemian wieluńskich..."

Wysłuchałem również opowiadania prof. Antoniego Brzozowskiego, z którego wynika, że Joanna Żubr pojedynkowała się wielokrotnie z okolicznymi szlachcicami, a sprawa jednego pojedynku oparła się ponoć o samego Wielkiego Księcia Konstantego.

Oglądałem wreszcie na cmentarzu grób, którym opiekuje się młodzież z miejscowego Gimnazjum. Pamięć o Joannie Żubr jest więc nadal żywa w tym mieście, chociaż nie wszyscy czytali „Huragan" i mało kto zna życiorys markietanki. Zresztą życiorys jeszcze w niektórych punktach sporny, chociażby co do daty urodzenia: dr Józef Jasnowski w swym liście podaje rok urodzenia 1776 Jerzy Łojek w swej pracy — rok 1786. Natomiast według aktu zgonu, na który natrafiłem podczas pobytu w Wieluniu, (przyjmując podany tam wiek zmarłej — 80 lat, a rok śmierci — 1852), Joanna Żubr musiała się urodzić w roku 1772, a więc w tragicznym roku pierwszego rozbioru Polski. No, ale to jest już sprawa dalszych badań, prowadzonych przez historyków. Jedno jest pewne, że Joanna Żubrowa wraz ze swym mężem walczyła w wojsku polskim za czasów Księstwa Warszawskiego już od roku 1806, przebyła całą kampanię napoleońską w 1812 i podobno walczyła także w szeregach powstańczych z 1831 roku. Jak na kobietę — życiorys niezwykle chwalebny.

Przypomnienie postaci Joanny Żubrowej chciałbym zakończyć jeszcze jednym dokumentem, na który udało mi się natrafić we wsi Kadłub pod Wieluniem. Według uzyskanych informacji mąż Żubrowej, były żołnierz wojska polskiego i armii napoleońskiej, miał umrzeć w Popowicach o trzy lata wcześniej od swej żony i podobno pochowano go w miejscowym kościele. W pięknym, modrzewiowym kościółku nie odnalazłem jednak żadnych śladów grobowca. Cmentarz, który wówczas otaczał kościół też nie istnieje. Natomiast we wsi Kadłub, wśród kilku ksiąg parafialnych ocalałych z pożogi wojennej, z których pierwsza datuje się z roku 1806 — odnalazłem na stronie 261 z dnia 6 lipca 1849 r. pod pozycją nr 15 — akt zgonu Macieja Żubra, męża Joanny.

„Wieś Popowice. Działo się we wsi Kadłubie dnia 6 lipca 1849 roku o godzinie dwunastej w południe. Stawili się: Jakób Sawicki nauczyciel szkoły rządowej we wsi Popowicach lat pięćdziesiąt cztery mający i Aleksy Ciupa, kolonista, lat pięćdziesiąt pięć liczący, zagrodnik, obydwa zamieszkali we wsi Popowicach i oświadczyli nam, że w Popowicach dnia wczorajszego (5. VII. przyp. autora) o godzinie 6 rano umarł Maciej Żubr, emeryt, były nadleśny lasów rządowych leśnictwa Wieluń, mąż Joanny z Pasławskich, urodzony w mieście Łuchiny Gubernji... (Kijowskiej, względnie Kujawskiej — nieczytelne — wyjaś. autora), syna Macieja i Wiktorji z Dobrowolskich małżonków Żubrów zamieszkałych niegdyś w mieście Łuchiny Gubernji Kujawskiej już zmarłych; lat 68 liczący, zostawiwszy po sobie owdowiałą żonę Joannę z Pasławskich. Po przekonaniu się naocznym o zejściu Macieja Żubra akt ten stawającym świadkom przeczytany przez nas i przez jednego świadka podpisany, gdyż drugi świadek pisać nie umie. (—) Jakób Sawicki nauczyciel (—) ks. Taranowski".

Publikując niniejsze materiały cenne zwłaszcza dla wielunian, którzy z wielkim pietyzmem otaczają pamięć pb wybitnych i zasłużonych ludziach swej Ziemi, mam nadzieję iż w Gimnazjum lub w domku przy ulicy Joanny Żubrowej urządzą oni stałą gablotę z pamiątkami i dokumentami mówiącymi o życiu i działalności tej sławnej w czasach Królestwa Kongresowego, a z Wieluniem zwiazanej — kobiety markietanki.

*) *Wszystkie cytaty i napisy w brzmieniu dosłownym.*

informacje i zaczepki

◎ Ostatnio otwarta została w sprawnie działającym Klubie ŁKS wystawa fotografii sportowej znanego łódzkiego fotoreportera Eugeniusza Kudaja. Warto dodać, że jest to pierwsza w Łodzi ekspozycja fotografii o tej tematyce. Kibiców sportowych zainteresuje z pewnością wiadomość, że jesienią Kudaj wystąpi również w Klubie ŁKS z wystawą pod nazwą „Kibice sportowi".

◎ Już we wrześniu Łódź otrzyma nową placówkę szkolenia zawodowego. Będzie to jedyne w Polsce technikum przygotowujące fachowców z wykształceniem średnim w zakresie międzynarodowego obrotu towarowego. Specjalność ważna a przede wszystkim niezwykle atrakcyjna i kandydatów z pewnością nie zabraknie.

◎ W „Expressie" znaleźliśmy cytacik z Villona, z informacją, że „pisał już 600 lat temu francuski poeta". Pisał, a jakże, tylko nieco później. O cały wiek.

◎ Paradoksów u nas nie brak. Sześć lat temu zbudowano w pewnej wsi naszego województwa stadion sportowy. Pieniądze państwowe zostały wydane. Ale... w ciągu ostatnich pięciu lat na stadionie odbyły się dwie imprezy. Na „zielonej murawie stadionu" — mówiąc stylem sprawozdawców sportowych pasą się krowy.

◎ Red. Feliks Bąbol — sekretarz redakcji „Expressu Ilustrowanego" otrzymał nagrodę Klubu Publicystyki Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za prace o tematyce społeczno-politycznej publikowane na łamach „Odgłosów".

◎ Niedawno skończył się drugi etap szkolnego konkursu oszczędności p.n. „Oszczędzaj i ucz oszczędzać". W wyniku eliminacji 49 szkół woj. łódzkiego uzyskało dyplomy uznania i nagrody pieniężne. Warto dodać, że młodzież woj. łódzkiego zaoszczędziła w br. szkolnym ponad 9 milionów złotych, a zatem o 2 miliony więcej niż w roku ubiegłym.

J. W.

Max Aub pokazuje jak „fabrykował" obrazy J. T. C.

CZŁOWIEK *który nigdy* NIE ISTNIAŁ

Mexico City. Rok 1958. Na pięknej alei Paseo de la Reforma przed wejściem do słynnej galerii Excelsior, zatrzymywały się jedna za drugą, wytworne limuzyny. Na schodach prowadzących do galerii usłyszeć można było strzępy rozmów. „Znałeś go?" „Osobiście nie, ale mój ojciec spotykał go przed I wojną w Bateau Lavoir"... „Ach cóż to były za czasy: Picasso, Braque, Matisse, Apollinaire..."

Wewnątrz galerii cichnie gwar rozmów. Zapada pełna nabożnego skupienia cisza. Zwiedzający z poczuciem własnej ważności kontemplują 40 dzieł zapomnianego a przecież chyba największego malarza z pokolenia Picassa — Jusepa Torresa Campalansa. Przez 40 lat wymazany z ludzkiej pamięci Jusep Torres Campalans odzyskiwał sławę i miejsce w historii epoki. Żył oczywiście w Paryżu. Był ojcem kubizmu, a potem genialnym abstrakcjonistą. Nagle w sierpniu 1914 roku zniknął z powierzchni życia paryskiego, tak jakby nigdy nie istniał. Wszelki ślad po nim zaginął. I oto po latach imię jego znów błysnęło blaskiem dawnej świetności dzięki Maxowi Aubowi — znanemu francuskiemu pisarzowi i dramaturgowi. W roku 1955 Max Aub bawiąc w Meksyku południowym, spotkał któregoś dnia osobliwego staruszka, małego, chudego, o wyschłej i ogorzałej twarzy. Wsparty na kiju staruszek zatrzymał pisarza i zagadnął go nieoczekiwanie „Skąd pan przyjechał?" „Z Paryża" — odpowiedział Aub. „Z Paryża, to on jeszcze istnieje?" — zdziwił się szczerze staruszek. Lekko zaskoczony, Aub wdał się w rozmowę z dziwacznym człowiekiem. Okazało się, iż był on z pochodzenia Katalończykiem, mieszkał przez pewien czas w Paryżu, parał się trochę malarstwem, a w 1914 uciekł do Meksyku nie chcąc uczestniczyć w wojnie. Teraz żyje sobie spokojnie jak u Pana Boga za piecem.

„Ale co pan robi?" — zapytał go Aub. „Metysów..." — odpowiedział frywolnie staruszek, wyjaśniając zdumionemu Francuzowi, że pojął za żonę Indiankę i ma z nią wiele dzieci i wnuków.

Żegnając się staruszek rzucił zdanie, które przez długi czas nie dawało spokoju Aubowi. Powiedział mianowicie: „Przy okazji, kiedy pan go spotka, proszę pozdrowić ode mnie serdecznie Picassa".

Kim była ta osobliwa postać, jakiś Jusep Torres Campalans, żyjący gdzieś wśród gór i półdzikich Indian i przesyłający „serdeczne pozdrowienia" samemu Picassowi?

Znalazłszy się znów w gronie starych paryskich przyjaciół Max Aub nie omieszkał opowiedzieć im tego wydarzenia. I właśnie wtedy olśniło go. Ależ tak, jakże mógł zapomnieć! To był on: Torres Campalans. Zaginiony geniusz. Towarzysz wielkich malarzy początków naszego stulecia, przyjaciel Picassa, Braque'a, Maxa Jacoba, Mondriana, Delaunay. Podobnie jak Rimbaud zerwał więzy z cywilizacją, schronił się w krainie ludzi dzikich i pierwotnych. Jego Abisynią stał się Meksyk.

Natychmiast potem Max Aub wyjechał do Meksyku. Niestety było już za późno. Dziwaczny staruszek nie żył. Odszedł, pozostawiwszy po sobie trzydzieścioro dzieci i nic poza tym. Ani skrawka papieru, ani kawałka płótna. Max Aub nie załamał się jednak w obliczu przeciwności. Rozpoczął długofalowe śledztwo pod hasłem J. T. C. czyli Jusep Torres Campalans. Przetrząsał archiwa, zbierał dokumenty i dzieła, indagował ludzi, którzy żyli i tworzyli w „złotej epoce". W roku 1958 mógł już odpowiedzieć na pytanie kim był J. T. C. i jaką pozycję w dziejach współczesnego malarstwa zajmował.

Ogromne podniecenie ogarnęło środowiska artystyczne. Meksykanie czuli się szczególnie wzruszeni na myśl o człowieku, który wybrał ich kraj na miejsce ucieczki od świata. W ciągu kilku dni dzieła J. T. C. wystawione w galerii Excelsior stały się sławne. Zewsząd napływały oferty kupna. Biografia J. T. C. opatrzona bogatą dokumentacją okazała się bestsellerem wydawniczym. Podniecenie zaczęło przechodzić w ekstazę. Najwybitniejszy krytyk meksykański oznajmił, że jego zdaniem „twórczość J. T. C. stanowi brakujące ogniwo pomiędzy sztuką okresu przedpicassowskiego a postpicassowskiego". Inni uznali, że jeśli chodzi o technikę collage'u, J. T. C. wyprzedził wszystkich współczesnych sobie malarzy. Na temat jego twórczości wylano wiele atramentu i użyto wielu mglistych sformułowań w rodzaju: prymitywny antyformalizm, przedmiotowość strukturalna, nadstruktura koncepcyjna itd.

Max Aub przypatrywał się temu wszystkiemu i z ust jego nie schodził tajemniczy uśmiech.

Legenda J. T. C. osiągnęła swój szczyt. Znalazły się nawet osoby, które osobiście znały malarza i posiadały jego nieznane szkice. Wtedy ponownie zabrał głos Max Aub: „Torres Campalans nie istnieje. Wymyśliłem go od stóp do głów łącznie z biografią i dziełami, które sam namalowałem".

Dlaczego to uczynił? „Nie jestem wcale mistyfikatorem. Chciałem napisać książkę o moralnym klimacie naszej epoki, w której sztuka zastąpiła religię i politykę. Wahałem się jedynie, czy nadać jej formę powieści czy biografii. Biografie są zawsze fałszywe a powieści zawsze prawdziwe. (Raskolnikow i Werter są bardziej prawdziwi niż rzeczywistość). Z drugiej strony powieść tradycyjna jest już zbyt przestarzała, zbyt „zużyta" bym mógł ją wykorzystać dla treści, które chciałem wyrazić. Połączyłem więc obie formy. Wymyśliłem biografię. I moja biografia właśnie dlatego, że wymyślona, jest w pełni prawdziwa. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że wszyscy w nią uwierzyli".

Podobnie jak angielski wywiad podczas ostatniej wojny, Max Aub stworzył „człowieka, który nigdy nie istniał".

Na początek, genialny malarz, musiał oczywiście otrzymać jakieś nazwisko. Max Aub chciał, aby był Katalończykiem. Uznał zatem, że Torres Campalans brzmi dostatecznie dźwięcznie a imię José, w katalońskim wydaniu Jusep, dopełnia malowniczej całości. Na świat przyszedł w wiosce należącej do diecezji Vich. Ponieważ miał zostać przyjacielem Picassa, musiał więc być mniej więcej w jego wieku. Urodził się przeto w 1886 roku. Wygląd zewnętrzny nastręczał więcej trudności. Czy nasz bohater miał być wysoki czy niski, gruby czy chudy? Z pomocą przyszedł Aubowi jak to zwykle bywa, przypadek. W jakiejś gazecie znalazł bardzo charakterystyczne zdjęcie kibica piłkarskiego, łysego, o wydatnym nosie i wystających kościach policzkowych. Zdjęcie to zręcznie zmontowano z fotografią Picassa pochodzącą z 1910 roku i opublikowano w biografii malarza. Następnie dobrano J. T. C. — rodziców. Ojca — dzielnego robotnika o surowych rysach twarzy i matkę — katalońską wieśniaczkę w chusteczce na głowie. Max Aub postanowił, że J. T. C. rozpocznie naukę w szkole w Vich a w 1898 ucieknie z domu do Gerony, gdzie zostanie uczniem i pomocnikiem notariusza. Portretowi malarza brakowało jeszcze jakiejś drobnej słabostki, przydającej mu prawdziwości a zarazem sympatii w oczach czytelnika. Aub zdecydował, że J. T. C. będzie miał bzika na punkcie higieny jamy ustnej. „J. T. C. — czytamy w biografii — czyścił codziennie zęby pastą i szczoteczką szorując je starannie z góry w dół i z dołu do góry, tudzież poziomo, po 25

Dalszy ciąg na str. 10

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Poznaliśmy już przeżycia Justyna, jednego z głównych bohaterów powieści. Lecz Justyn posiada przyjaciela, którego nazywają Socjalistą, ponieważ kiedyś przeczytał dwie strony z Marksa. Socjalista także opuścił miasto rodzinne lękając się aresztowania. Justyn trafił do opustoszałego dworu, on zaś rozpoczyna właśnie karierę jako nauczyciel tajnego gimnazjum. Uczy młodzież chłopską. Czy zdoła zyskać jej zaufanie? Czy los pozwoli mu spokojnie pracować? Moglibyśmy tego rodzaju pytania mnożyć w nieskończoność — nasz drugi bohater może zginąć lub zostać kaleką, może dotrwa szczęśliwie końca wojny, a może nie. Nie o to nam jednak chodzi. Jak się zachowywało pokolenie Socjalisty podczas okupacji jak rozumiało swoją rolę, co w końcu przeżyło w sensie najistotniejszym dla każdego człowieka — na te pytania, być może, znajdziecie odpowiedź.

— Suń się, Mewa, trochę, teraz cekaem ważniejszy od twojej dupy.

Justyna ogarniała złość i strach. Żołnierz bywa z reguły pocieszany przez sierżantów i poruczników i z reguły im nie wierzy, gdyby bowiem dowódcy mówili prawdę, żadne wojsko na świecie nie przegrałoby ani jednej bitwy, a przecież przegrywa.

— Przez to twoje głupie gadanie możemy jutra słońca nie oglądać — rzucił w stronę Marka.

Konrad zapalił papierosa.

— Boję się trochę.

Marek odwrócił głowę w stronę drugiego piętra. Leżał tam Socjalista, obok Kosiarza.

— Nie mierz mi w tyłek, to zły omen, jestem przesądny.

Socjalista odsunął erkaem.

— Nie wierzę w śmierć, po prostu nie umiem sobie wyobrazić tej chwili, trafia mnie kula, rozpruwa, ginę. Możesz być spokojny o swój tyłek, pilnuj raczej głowy. Masz złe przeczucia?

— Koniec rozmów! — zakomenderował Wichura.

Kilkudziesięciu ludzi patrzyło w stronę wsi. Po kilku minutach wypadli spomiędzy domów dwaj rowerzyści i pędzili w stronę górki. Jeszcze pięć długich minut i usłyszeli grające motory. Odsiecz prowadzili motocykliści, za nimi jechał opancerzony samochód, na końcu ciężarówki wypełnione piechotą. Kolejarz pomylił się, nie jedna, ale dwie kompanie jechały na pomoc oblężonym w pałacu.

Socjalista przycisnął kolbę do ramienia, aby opanować drżenie. Widział dokładnie czujne twarze żołnierzy niemieckich, karabiny maszynowe skierowane były na świerkowy lasek. Ledwie pancerny wóz minął zakręt, wybuchły pierwsze granaty, to parter rozpoczynał akcję. Niemcy odpowiedzieli natychmiast. Obsługa karabinów maszynowych zginęła szybko, stanowiła łatwy cel, ale Niemcy zrzucili sprawnie broń z samochodów, przenieśli błyskawicznie amunicję do rowu po drugiej stronie szosy. Spośród sześciu samochodów zapaliły się tylko dwa, reszta stanowiła doskonałą zasłonę. Doświadczony piechur niemiecki szpikował wzgórze niezbyt celnym, ale gęstym ogniem i systematycznie rozciągał front. Po kilkunastu minutach udało się Niemcom otoczyć wzgórze rozległym półkolem. Szeroki worek pochłaniał węższy.

Wichura musiał sam z kolei poszerzyć front. Trwał więc wyścig skrzydeł, na niektórych odcinkach polowali na siebie zielony i szary żołnierz, łączność rwała się, porucznik tracił powoli panowanie nad całością.

Socjalista strzelał rzadko. Przyciśnięty strachem do ziemi dopiero po chwili podniósł ostrożnie głowę. W wąskiej przestrzeni pomiędzy świerkami widział dwa puste samochody. Skoczył w bok. Nad głową świsnęły pociski, na kark posypało się drobne, kłujące igliwie. Mają mnie — pomyślał. Poczołgał się dalej wlokąc za sobą karabin. Przyczaił się za następnym świerkiem, wsparł lufę na gałęzi, tuż przy pniu i czekał. Piętro niżej strzelał Konrad. W polu widzenia pojawiła się kolumienka żołnierzy niemieckich. Biegli na skrzydło. Mierzył starannie. Kilku Niemców, zgarbionych dotąd, wyprostowało się niechętnie, wznieśli ręce do góry, a potem padali powoli, na przekór prawu ciążenia.

Założył nowy magazynek, podniósł się, ale nie zdążył pociągnąć za cyngiel. Padł nieprzytomny pod świerkiem, zapomniał o starym przykazaniu: zmieniaj pozycję po każdej serii, bo cię dopadną.

* * *

Noce jesienne spadają na świat nagle, ciemność jest głębsza i jaskrawsze światło zimnych gwiazd.

— Dokąd my idziemy, panie sierżancie?

— A dokądby, jak nie do domu, złocieńka.

— Chyba zbłądziliśmy, profesor jest ranny!

— Cóż to takiego znowu, ty mnie, smarkata nie ucz, jak się ślady gubi. Zdaje mi się, że nie wygraliśmy, łupnia nam dali tęgiego, odsiecz już dawno w miasteczku, nasi odstąpili, a nam trzeba, złocieńka, ślady gubić, znaczy się kręcić troszeczku, inaczej dopadną nas i z kimże ja tu będę wojował?

Socjalista próbował powrócić do realnego świata. Poszczególne elementy świadomości, luźne i porozrzucane nie tworzyły żadnego obrazu, słyszał koła terkoczące po piasku, lecz nie wiedział, że jedzie, widział nieskończone niebo, puste i zimne gwiazdy, ale gdzie był on sam? Może płynął przez powietrze, może leżał między świerkami? Tliło się w nim jakieś minimalne poczucie istnienia, tępy ból, świerki, chłód.

Nad ranem spytał przytomnie.

— Jak zasadzka, sierżancie?

— Zasadzka nieważna, cała wojna jest ważna.

— Są zabici?

— Nie każdy wraca, kto wychodzi.

Dniało już, kiedy zmęczone konie dotarły do Kozierad. Oddział przystanął na początku wsi, niedaleko od domu Filozofa. Amunicyjny leżał spokojnie, granat rozerwał mu brzuch. Ten sam granat poszarpał Samojłowowi nogi. Samojłow uciekał trzy razy z niewoli, cztery razy go zabijano, ale życie wciąż nie chciało opuścić potężnego ciała ślusarza z Moskwy. Żył i teraz. Kosiarza trzeba było nieść, kula przeszyła mu udo. Osłaniał odwrót wraz z synem Drzymka Kregusa, ale wrócił sam, syn Kregusa został na zawsze pomiędzy świerkami.

Socjalistę położono na łóżku. W kuchni rozprawiał Filozof.

— Oporządzili mu najpierw nogę, tera rękę, będzie pewnie kolej na głowę. Oj, wojoki, wojoki, ale tyż się Hitler was wystraszył!

Wąsaty odcinał się.

Dalszy ciąg na str. 10

CZŁOWIEK *który nigdy* NIE ISTNIAŁ

Dalszy ciąg ze str. 9

razy w każdym kierunku. W jakiejś broszurce reklamowej przeczytał, że tak właśnie należy postępować. Ten rodzaj literatury miał nań szczególny wpływ".

Teraz, kiedy malarz miał już nazwisko, rodziców, stan cywilny i własne nawyki, należało go wprowadzić w życie i „epokę". Pierwsza trudność: co zrobić z Picassem, postacią bądź co bądź żyjącą, wobec której należało zachować nieco respektu...

Z woli Auba Torres Campalans udał się do Barcelony, w ślad za pewną młodą aktorką. W Barcelonie zupełnie przypadkowo poznał Picassa. Mianowicie J. T. C. postanowił zwiedzić słynne zabytki Barcelony. Nie wiedząc jednak od czego zacząć zwrócił się z prośbą o radę do znakomitego profesora Akademii Sztuk Pięknych, Jose Ruiza. Ten „będąc człowiekiem niezwykle uprzejmym i uczynnym ofiarował młodemu prowincjuszowi towarzystwo swego syna w charakterze cicerone. Tym ciceronem, „młodzieńcem drobnym, subtelnym i niezwykle żywym" okazał się być Pablo Ruiz Picasso. Pablo zapoznał J. T. C. nie tylko z zabytkami Barcelony ale i z nocnym życiem czcigodnego grodu, co przypieczętowało świeżo zawartą przyjaźń.

Następnie należało znaleźć jakiś przekonywający powód wyjazdu J. T. C. do Paryża. Max Aub wymyślił miłość, wieczną i przeogromną i cała reszta okazała się bardzo łatwa. J. T. C. zakochał się do szaleństwa w pięknej senioricie Pepicie Romeu, córce notariusza don Miguela. Cóż za romantyczna idylla! Jusep pragnął nade wszystko dowieść czystości swych zamiarów. Nie miał w sobie nic z uwodziciela. Miast prawić dusery damie swego serca, wysyłał co poniedziałek czyste kartki pocztowe do jej ojca. Trudno o zachowanie większej powściągliwości. Ale skutek był taki, iż Pepita nigdy nie dowiedziała się o uczuciu jakie wzbudziła w sercu malarza, i spokojnie poślubiła innego. Zdrada ukochanej spadła na J. T. C. jak grom z jasnego nieba. Zrozpaczony i złamany wyjechał do Francji. W Paryżu, jako stary znajomy Picassa został oczywiście z miejsca członkiem jego „bandy". Poznał wielu słynnych ludzi: malarza Juana Grisa (którego nigdy jednak nie lubił), poetę Maxa Jacoba, Apollinaire'a, Braque'a i innych. Przezorny Aub starał się jednak ograniczać do maksimum towarzyskie kontakty J. T. C. usprawiedliwiając to dumnym, nieprzystępnym, a nawet nieco gwałtownym charakterem malarza. „Gwiżdżę na głupców — pisał J. T. C. — nie bywam u ludzi, którzy mnie nie interesują". Dlatego też zapewne jego nagłe zniknięcie w roku 1914 nie wywołało w środowiskach Montmartre'u wielkiego poruszenia. A jednak wszyscy uznawali w nim mistrza. Nie tylko znakomicie malował ale posiadał również dar układania wybornych aforyzmów, które zamieszczono również w jego biografii. Aforyzmy te znalazł Aub w tajemniczym zielonym zeszycie, będącym własnością pisarza Jean Cassou. A oto przykłady: „Kubizm to rzecz bardzo prosta: dawniej obrazy oglądało się z zewnątrz, a teraz od wewnątrz". „W gruncie rzeczy Francja jest tylko katalońską kolonią". „Pierwsza rzecz, jaką można zrobić z obrazem: podpisać go".

Ale jak można uwierzyć w istnienie malarza, nie znając jego dorobku artystycznego? Max Aub osobiście zajął się stworzeniem tego dorobku, podkreślając na każdym kroku, że znaczna jego część, niestety, zaginęła. Pozostało jedynie parę akwareli, szkiców węglem i innych drobiazgów, mniej doskonałych, oczywiście, od genialnych, bezpowrotnie utraconych — „wielkich płócien". W ocalałej spuściznie J. T. C. wyróżnić można trzy okresy, okres fanwistyczny, kubistyczny i abstrakcjonistyczny. Aby przydać temu wszystkiemu pozory większego prawdopodobieństwa, Aub powołał się na młodego ale obiecującego krytyka irlandzkiego, Henry Richarda Town, który w roku 1942 sporządził pełny katalog dzieł J. T. C. Jak nietrudno odgadnąć nieszczęsny Henry Richard Town zginąć musiał śmiercią przedwczesną a tragiczną. Aub zadecydował, iż stać się to miało podczas bombardowania Londynu.

Ocalałe obrazy mistrza przekazał Aubowi pewien dyplomata frankistowski, który wolał zachować incognito. Tajemnica J. T. C. zdradzona została tylko Jean Cassou i Picassowi, który szczerze ubawiony oznajmił „J. T. C.? Znałem go doskonale. W każdej chwili mogę to potwierdzić!"

W roku 1962 przeglądając szczotki swej biografii Aub otrzymał list od korektorki drukarni, niejakiej pani Rirette Maitrejean. Dama ta była jedną z heroin „złotej epoki", przyjaciółką Victora Serge. Prostowała ona niektóre błędy popełnione przez Auba w opisie anarchistycznych kręgów Paryża, ale nie podważała bynajmniej prawdziwości całej książki. J. T. C. był, kimś, kogo mogła znać lub prawdopodobnie nawet znała. Kto wie? „Czyż wszyscy nie jesteśmy — jak pisał Sofokles — duchami jedynie i ulotnymi cieniami".

oprac. w/g. „Epoca" M. K.

Montaż fotograficzny. J. T. C. u boku młodego Picassa

Obraz J. T. C. — Smutny Pierrot b. chwalony przez krytyków.

Portret Maxa Jacoba, pędzla J. T. C.

CO w terenie?

Staraniem Wydziału Oświaty i Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łodzi, 16 czerwca w parku konstantynowskim odbywał się I Powiatowy Festiwal Pieśni Chóralnej, z udziałem chórów z Konstantynowa, Aleksandrowa i Zgierza. Program Festiwalu przewidywał utwory polskich kompozytorów dawnych i współczesnych. Impreza należała do wielce udanych. Na koncert przybyło ok. 800 słuchaczy, których nie odstraszyła nawet niepewna pogoda. O powodzeniu koncertu świadczy również fakt, że zostanie on powtórzony w Zgierzu i Aleksandrowie. Podobne festiwale w powiecie łódzkim będą organizowane co roku.

■

23 czerwca Wiejski Dom Kultury w Gałkowie obchodził uroczystość 10-lecia swojej działalności. Trzeba zaznaczyć, że WDK stał się placówką promientującą wieloma ciekawymi i pożytecznymi akcjami nie tylko na społeczeństwo Gałkowa, ale i na szereg okolicznych miejscowości. „Sędziwemu" Jubilatowi życzymy dalszego rozkwitu i doczekania co najmniej „diamentowych" urodzin!

■

W Pabianicach wszystkie placówki kulturalno-oświatowe podlegają związkom zawodowym. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że nie ma tam ....Komisji Porozumiewawczej Związków Zawodowych. Właściwie istnieje, ale „de nomine", bo jej przewodniczący najzwyczajniej w świecie zrzekł się swojej funkcji przed zakończeniem kadencji i nie ma na jego miejsce nikogo... Jaki z tej racji wynikł bałagan — słowami nie opiszesz! Placówki — sobie, Wydział Kultury — sobie i taki stan radosnego chaosu trwa miesiącami. Ludzie, czy naprawdę tak trudno o trochę dobrej woli? Przecież to zakrawa na skandal!

Dalszy ciąg ze str. 9

— Krakała wrona na Rossie, nikt jej nie słuchał. Poczęstowalibyście żołnierza bimberkiem.

Filozof nie ustępował.

— Matka, daj kieliszeczki! Strata nie tuczy, ale rozumu uczy. Przestańcie posyłać naszego profesora na wojenkę, on jest pechowy, za następnym razem pójdzie i nie wróci.

— Taż ja pojęcia nie miał, że pan Drzymek taki skąpy dla polskiego żołnierza, jakże pić wojakowi z czegoś takiego?

Znowu mam świat za drzwiami — pomyślał Socjalista i w tej samej chwili zasnął, zapadł w sen martwy, pozbawiony niezwykłych przygód, obrazów, dźwięków i barw. Obudził się dopiero po południu, ale nie miał ochoty wracać do realnego świata. Ośmiu chłopców nie żyje, osiem matek płacze. Któż im będzie prawił morały o zaszczytnej śmierci? Śmierć zawsze się opłaca, ba, jest nawet potrzebna, jeśli brać pod uwagę interes przyszłych pokoleń. Czy matki, które straciły synów, biorą pod uwagę interesy przyszłych pokoleń? Czy dadzą się przekonać, że tylko ciało umiera, a to co jest w nas najważniejsze, duch, trwa wiecznie?

* * *

— Jazda. Franek, jazda, każę cię wykastrować, jeśli nie zdążymy!

— A jak zajeżdżę konia? Głównie, to mi się o kobyłkę rozchodzi, towarzyszu poruczniku, bo ona jest rodna!

— Sam ci urodzę lepszą, jedź Franiu, bo nas uprzedza!

Wołga odwrócił się. W tyle pędziły wozy wyładowane żołnierzami, bronią i amunicją. O akcji Żbika Wielkiego na Odpusty dowiedział się przed godziną. Plutony, zmęczone i wykrwawione walką o Ostachów, nie zagrzały długo miejsca w obozie, trzeba było rozstać się z myślą o odpoczynku i spokojnych nocach w sianie. Wołga nawymyślał w pierwszej chwili Dębowi. To ma być szef wywiadu? Żbik Wielki odgryza się za akcję na jego legowisko, a Dąb nic o tym nie wie. Kulawy bronił tym razem Dęba.

— Czego się siepiesz, zamiast przeanalizować spokojnie sytuację. Po pierwsze niesłuszne było to braterstwo pod Ostachowem. Cośmy skorzystali? Tyle, że nam faszyści rozbiją zaplecze.

Wołga był zupełnie innego zdania. Co skorzystali? A to, że podziemie wystąpiło wspólnie bez faszystów, ludzie spotkali się i oddziaływali na siebie, zdobyto broń, amunicję, bardzo cenne informacje. To ma być nic? Ludzie Wołgi pokazali co umieją. Wprawdzie trudno zakasować plutony szkolne Sosny, ale też one poniosły największe straty podczas nieudanej zasadzki. Kulawy lubi przypominać okresy jednolitego frontu, a jak do tego doszło pod Ostachowem, zaraz zaczął marudzić, że nie należy zacierać różnic ideologicznych.

— A po drugie, jakżeśmy poszli razem należało przewidywać, że Żbik Wielki wykorzysta moment. Czego się czepiasz Dęba? Zrobił najlepszą demonstrację w roku, trzeba było zostawić w Odpustach poważniejszą obstawę. I tak dobrze, że Dąb zorganizował jaką taką siatkę w rejonie Olszyny, inaczej gówno byśmy wiedzieli.

Wozy jechały coraz wolniej. Konie ustawały z każdym kilometrem, od trzech dni były w drodze.

— Jeżeli rozpieprzą nam punkt w Odpustach, będziemy musieli zmienić rejon operacyjny — powiedział Dąb.

— Samą prawdę dzisiaj mówisz — mruknął Wołga.

Kulawy próbował uspokoić powaśnionych przyjaciół.

— Nawet jeśli stracimy zapasy, bibułę i broń, nie zginiemy, mamy przecież magazyny w lasach koło Radłowej. O ludzi chodzi, przecież my tam mamy aktyw polityczno - oświatowy. Ile jest tam obstawy?

— Pięciu ludzi.

Wołga podniósł się na wozie.

— Zaraz będzie koniec lasu. Franuś, stop!

Wozy przystanęły. Wołga raz jeszcze odprawił dowódców.

— Dąb, pójdziesz od północy, przetniesz drogę na Miodowe Wzgórza i przyczaisz się. Dyszel, puścisz kolumienki od zachodu, tylko pilnuj, żeby ludzie mieli granaty, konie bardzo nie lubią granatów. Ja idę prosto, Kulawy zostaje na miejscu. Nie zaczynać, póki nie wystrzelę z rakiety. Najpierw odpowiadacie z rakietnic, a później rozwiniecie natarcie w kierunku szkoły. Czy są pytania?

Dyszel podniósł ręce do góry.

— Może lepiej wysłać zwiad? Jest cicho, znaczy, że oni jeszcze nie przyszli, albo myśmy przyszli za późno.

W Odpustach zaterkotał karabin maszynowy, po nim drugi i trzeci. Plutony wyskoczyły z lasu. Wołga biegł początkowo rowem wzdłuż szosy, ale po kilkudziesięciu metrach skoczył w żyto, za nim reszta. Przed wsią, obok samotnej stodoły rozłożył się patrol oddziału Żbika Wielkiego.

— Zauważyli nas?

— Chyba nie, ale i tak nie będą wiedzieli z której strony wyskoczymy.

Pod stodołą odezwał się karabin maszynowy. Wołga wystawił ostrożnie głowę.

— Oni wcale nie strzelają do nas, tylko do stodoły. Tam musi być jakiś punkt oporu.

Posuwali się teraz szybciej, podchorążowie Żbika Wielkiego zupełnie nie zwracali uwagi na szosę, strzelali wciąż do samotnej stodoły. O ile można było się żorientować — ktoś odpowiadał im z automatu. Łan zboża skończył się. Wołga wyskoczył do przodu, przebiegł szosę, przykleił się do kamienia przydrożnego i puścił serię z pepeszy. Kukułka wystrzelił z rakietnicy. Czerwona kula wisiała przez chwilę nad Odpustami, nim opadła wypłynęła na niebo złota i zielona. Z rowu odezwał się erkaem. Podchorążowie rozpoczęli bezładny odwrót. Wołga biegł wprost na stodołę, reszta plutonu otaczała łukiem brzeg wsi. Strzelanina wokół szkoły nie słabła, ludzie pozostawieni przez Wołgę dla ochrony stawiali jeszcze opór. Kukułka przekręcił szybko karabin maszynowy, porzucony przez podchorążych i strzelał ponad głowami uciekających. Strzelanina wybuchła również i na przeciwległych krawędziach wsi.

— Nie drogą! Nie drogą! — krzyczał Wołga.

Żołnierze szli ku szkole wzdłuż linii sadów i stodół. Opór żbikowców stężał. Wołga przyczaił się za piwnicą. W pewnej chwili spostrzegł, że leży obok niego jakiś nieznany mu żołnierz z automatem niemieckim w dłoniach. Ubrany był w mundur angielskiego kroju, na głowie polski hełm szturmowy, na rękawie biało-czerwona opaska z napisem „AK".

d. c. n.

CZY »KOBRA« jest jeszcze POTRZEBNA?

Od dłuższego już czasu, ba! od roku przynajmniej wszyscy jak jeden mąż narzekamy na jakość oraz na treść niektórych pozycji telewizyjnych. I tak pozornie dziwnie — a w gruncie rzeczy właśnie logicznie — się składa, że nasze pretensje odnoszą się systematycznie do jednych i tych samych pozycji. Na przykład: do „Tele-echa". Na przykład: do programów rozrywkowych. Na przykład: do Kobry.

Na temat „Kobry" każdy recenzent telewizyjny oraz każdy telewidz nie raz i nie dwa wygłaszał swoje mało pochlebne opinie. O ile sobie dobrze przypominam i ja swojego czasu poświęciłem temu tematowi osobny felieton. Mówiąc prawdę w wielu wypadkach uwagi recenzenta idą w próżnię, gdyby „Kobra" — jak niegdyś bywało, miała prawo pojawiania się również i z ośrodków terenowych (zbyt rzadko emituje ją teren, żeby można to było uznać za regułę od przypadku się zdarzy, że czasem Katowice, czasem Łódź), wtedy nasze uwagi trafiałyby jakoś do adresata, a tak, cóż, Warszawa leży zbyt daleko i jest niedosiężna i absolutnie „nieprzemakalna" na krytyczne uwagi.

Mniej więcej pół roku temu, gdy „Kobra" sypała się tydzień w tydzień, i tydzień w tydzień była emitowana właśnie z Warszawy i prawie tydzień w tydzień reżyserowana przez Józefa Słotwińskiego — a więc w owym czasie, kiedy Kobra stała się w zasadzie niemożliwa do oglądania, Józef Słotwiński zamieścił w „Przekroju" dosyć znamienną wypowiedź, jako publiczne usprawiedliwienie, — dlaczego „Kobra" jest aż tak niedobra, i dlaczego — zamiast się poprawiać — systematycznie się pogarsza. Słotwiński wymienił kilka zasadniczych przyczyn, za najważniejszą uważał brak dobrych scenariuszy. Ponieważ wyczerpały się zasoby dobrej literatury kryminalnej, której adaptacje dawały „Kobry" na poziomie, zaś scenariusze pióra rodzimych autorów są często poniżej poziomu, więc i „Kobra" musi być siłą rzeczy niezadowalająca — motywował Słotwiński.

Sądzę, że taka motywacja z pewnością zawiera dużo słuszności, ale nie jest wystarczająca. To bowiem tylko jedna strona medalu: brak dobrych scenariuszy. Faktem jest, mocno zresztą przykrym, że teksty kryminalne rodzimych autorów są często rzeczywiście „kryminałem", lecz przecież w takim razie — ponieważ z pustego nie nalejesz — po co przeciągać strunę, po co dawać „Kobrę" na siłę? Prosty wniosek — nie robić Kobry, dopóki nie znajdzie się sensowny scenariusz. Odrzucajmy dotąd scenariusze, dopóki szanowni autorzy nie wysilą się na porządny, uczciwie przemyślany tekst.

Niestety, „Kobra" tej selekcji nie stosowała. Stąd, prawdopodobnie ani autorzy scenariuszy nie przykładali większej uwagi do swych „dzieł", ani też reżyser, ani wreszcie aktorzy. Nie uważali za stosowne przygotować widowiska na poziomie.

Czy jednak „Kobry" nie można uratować? Czy znaczy to, że trzeba z niej w ogóle zrezygnować?

Sam pierwszy krzyknę — broń Boże, nie! W „jadłospisie" telewizyjnej kuchni istnieje wyraźna potrzeba na widowiska typu kryminalnego. Mogą one nie mieć wartości poznawczych, i nikt tego od nich nie wymaga, lecz muszą mieć swoje określone wartości — myślę, że nie ma potrzeby powtarzać, jakie wartości. Telewidzowie lubią „Kobry", lubią kryminalne serie filmowe. I dlatego „Kobra" powinna być w programie telewizyjnym, lecz nie taka, jaką nam telewizja obecnie prezentuje. „Kobra" w zestawieniu z filmem kryminalnym, emitowanym w telewizji, traci, i to traci wyraźnie. Odnoszę często wrażenie, że sami autorzy „Kobry", oraz jej wykonawcy traktują ją jako chałturę, w każdym razie jako gorszy typ widowiska, do którego nie potrzeba się przygotowywać. Szybki kryzys „Kobry" spowodowała jej nadmierna telewizyjna eksploatacja. Pamiętajmy, że przez długi okres czasu „Kobra" szła tydzień w tydzień. Wyczerpały się pomysły, i „Kobra" stała się zrutyniałą instytucją, nierzadko opartą na materiale wybrakowanym.

Dziecku też wiadomo, że napisać kryminał, to znaczy zarobić grubszą forsę. Wiadomo także, że kilku pisarzy z prawdziwego zdarzenia ukrywa się pod kryminalnymi pseudonimami. Sytuacja „Kobry" stała się bardzo podobna do sytuacji naszej polskiej literatury kryminalnej. I jeżeli na początku swojej kariery miała ona kilka dobrych tytułów, to obecnie, im jest ich więcej, tym z nimi gorzej.

Myślę więc, że to nie tylko brak dobrych scenariuszy spowodował upadek „Kobry". To jest raczej skutek bardzo gorącego stosunku — i autorów i wykonawców „Kobry" do pieniądza i coraz chłodniejszy ba lodowaty, do dobrego tekstu.

KOWALSKI

P.S. Ostatnia „Kobra" — „Umrzesz za tydzień" A. Szypulskiego, w reżyserii J. Słotwińskiego potwierdza powyższe przypuszczenia. Reżyserii tym razem nie zarzucam żadnych wad, z aktorów znakomity był Henryk Bąk, — ale tylko on — innym sufler zbyt głośno podpowiadał: natomiast tekst ostatniej „Kobry" — widzieliście państwo, słyszeliście. Cóż jeszcze dodawać?

Na zdjęciu: Bożyszcze młodych Francuzów, piosenkarz Johnny Halladay, bardzo często goszczący na telewizyjnych ekranach.

TELEwizja

Fotel telemana:

„KÓŁKO i SCHEMAT"

Teleturniej „Kółko i krzyżyk" jest bodaj najstarszy w naszej telewizji. Odpadł już tak poważny konkurent jak „Drzewko mądrości". Ale „Kółko i krzyżyk" mimo wielu trudności egzystuje nadal na pożytek telewidzów. Czy rzeczywiście „na pożytek?" Ten półgodzinny program (ostatnim razem trwał tylko 20 minut) pojawia się na małych ekranach raz na trzy tygodnie. Rozpiętość czasu chyba za duża jak na krótki stały teleturniej. Aby któryś z uczestników mógł wygrać przestarzały telewizor, musi upłynąć wiele miesięcy. O poważniejszych niedomaganiach tej audycji świadczy wszakże co innego. Ostatni program „Kółko i krzyżyk" (z dn. 18. 6.) poprzedzony został słowem wstępnym Bolesława Kielskiego. Zapowiedziano szereg „istotnych zmian". Tak więc zamiast „Bałtyku" i „języka polskiego" (dziedziny teleturnieju) będzie odtąd „prasa", „wielcy współcześni", „aktualności" i inne. „Istotne zmiany" nastąpią także przez oddzielenie „fizyki" od „chemii", które dotąd były razem. Na tym ograniczyły się zapowiedziane szumnie zmiany. Wiadomo, że każdy teleturniej oprócz wartości rozrywkowej winien posiadać wartość poznawczą. Ale oto — czegóż to dowiedzieliśmy się np. z ostatniej audycji? Nasz intelekt wzbogacił się o tak ważne wiadomości jak: Loch Ness związane jest z potworem morskim Marylin Monroe była producentką filmu „Książę i aktoreczka", ostatni mecz z Norwegią w piłce nożnej wygraliśmy 5:2 itp. Programowi niewiele może pomóc sympatyczny Kielski, który prowadzi teleturniej albowiem z próżnego i Salomon nie naleje. Audycja obrosła w ciągu lat w straszliwie nudny schemat i nie pomogą jej na pewno przytoczone wyżej zmiany. „Kółko i krzyżyk" jest jednym z najtańszych programów naszej telewizji. Może by położyć na nim krzyżyk?

CEDROWY NIEWYPAŁ

Spodziewaliśmy się, że „Cedrowy dwór" Krzysztofa Choińskiego będzie bardziej udaną premierą Studia Literackiego. Bądź co bądź, ta właśnie sztuka zdobyła nagrodę w konkursie na utwór telewizyjny. Niestety, spektakl rozwiał nasze przypuszczenia. Wina w tym przede wszystkim tekstu. Do samej tematyki nie można mieć najmniejszych zastrzeżeń, przecież sprawa przystosowania się młodzieży akademickiej do życia jest jak najbardziej aktualna. Ale autor z bardzo dobrej tematyki zrobił bardzo złą sztukę. Już sama konstrukcja dramaturgiczna pozostawiała wiele do życzenia. Przez pierwsze piętnaście minut spektaklu na ekranie nic się nie działo. Akcja ograniczyła się do pokazania pokoju, w którym Łazuka skazany był na przedziwne „wygibasy" w takt muzyki. Przez następne pół godziny wydawało się, że sztuka nabiera rumieńców. Jednak finał położył ją całkowicie. Autor, chcąc widocznie nadrobić ślamazarny początek, poprowadził akcję w zawrotnym tempie i sam się w niej zgubił. Czego tu nie było? I zwichnięcie nogi i wchodzenie przez okno po rusztowaniach i wreszcie dwóch homoseksualistów. To wszystko okraszono pocałunkami owych wyżej wspomnianych panów. Nic więc dziwnego, że premierze nie pomogła staranna reżyseria i niezła gra aktorów.

T. W.

Prawdziwym rajem dla fanatyków telewizji jest leżące w Lotaryngii miasto Thionville. Otóż mieszkający tam telewidzowie mogą bez żadnych dodatkowych urządzeń odbierać program telewizji francuskiej, belgijskiej, niemieckiej i luksemburskiej.

●

W Leningradzie zespół inżynierów i techników od kilku lat pracował nad skonstruowaniem telewizyjnej aparatury nadawczej, która umożliwiłaby nadawanie programu w dwu językach. Wysiłki ich zostały wreszcie uwieńczone powodzeniem. Już w niedługim czasie widzowie Mołdawskiej SRR będą mogli odbierać program telewizyjny w dowolnie wybranym języku — mołdawskim lub rosyjskim.

●

Najmniejszy na świecie odbiornik telewizyjny wyprodukowano w Japonii. Waga jego wynosi 3,5 kilograma. Pozostałe wymiary: długość 19,4 cm, wysokość 10,8 cm, szerokość 17,7 cm. Warto nadmienić, iż jest to telewizor przenośny.

KTO ODPOWIADA?

Niedawno czytaliśmy w prasie zaiste przerażające doniesienie. W paczkach, przydzielanych przez odpowiednią instytucję Opieki Społecznej znalazł się zatruty jadem kiełbasianym ser. Wiemy, że ludzie, wielu ludzi otrzymało takie paczki, wiemy, że jedna kobieta zmarła wskutek zatrucia, a szereg osób poddano opiece lekarskiej. Wiemy także o wielkich wysiłkach naszej łódzkiej Milicji Obywatelskiej, która ostrzega, dociera do osób, posiadających ów nieszczęsny ser, słowem robi wszystko co jest w ludzkiej mocy.

Nie wiemy tylko, kto za ten tragiczny stan rzeczy w końcu odpowiada. O tym w prasie ani słowa. Czyżby istotnie nikt nie ponosił odpowiedzialności za narażanie ludzkiego życia? Czy nie istnieją kontrolerzy, czy rzeczywiście rozdaje się u nas paczki żywnościowe ludziom, którym jest ciężko, bez sprawdzania co się w końcu daje? Spodziewamy się, że opinia publiczna, bardzo tym smutnym wydarzeniem poruszona doczeka się odpowiedzi na te pytania.

do druku podał St. Chruszczewski

LESZCZYŃSKI

Leszczyński — przy całym swoim talencie — miał duże trudności z uczeniem się na pamięć. Można sobie wyobrazić, co za pracę miał przy nim sufler! Żona Leszczyńskiego (Honorata z Rapackich) opowiadała, że najlepszym środkiem na pobudzenie pamięci jest... ryba, i że codziennie na kolację przygotowuje mężowi danie rybne. Pewnego razu Leszcz na scenie zaciął się. W ciszy, która nastała, słychać raptem z widowni wyraźny szept: „Pani Honoro! Ryby wczoraj, widać, nie było na kolację"!

* * *

Pierwszą żoną Leszczyńskiego była Józefa Popiel. Ktoś pewnego razu spotkał na ulicy muzyka Lewandowskiego i mówi: „Właśnie byłem na królewskim ślubie. Żenił się Leszczyński z Popielówną".

* * *

Był Leszczyński nieprawdopodobnym kawalarzem. Jadąc kiedyś do Spały, wziął ze sobą dwóch przyjaciół także aktorów. Wsiedli do wagonu pierwszej klasy, oczywiście z biletami jak należy. Leszcz miał na sobie płaszcz tzw. petersburski, bardzo szeroki, z obszerną peleryną zwisającą do pasa, z bobrowym kołnierzem i takimiż wyłogami. Wyglądał naprawdę imponująco przy swej postawie iście królewskiej. W drodze zjawia się konduktor i zwraca się naprzód do Leszczyńskiego: „Wasz bilet"? A Leszcz: „Ty mienia nie znajesz?" — „Tak-s toczno, wasze priewoschoditielstwo!" — odpowiada drżącym głosem konduktor, kłaniając się niemalże w pas i zwraca się do aktorów: „A waszi bilety?" — „Oni so mnoju!" Znów ukłon, jeszcze głębszy, i wycofanie się konduktora, przerażonego gafą łamiącego sobie głowę co to za dygnitarze jadą do cara do Spały?

W/g Henryka Miłkowskiego „Moje wspomnienia".

odgłosy TYGODNIA

Szanowny Panie Redaktorze

Nie wiem, czy pan wie, że Łódź otrzymała niedawno drugi bar kawowy. Mieści się on przy placu Wolności, jest czyściuteńki, śliczniuteńki — kolorowy i mały, istne cacko. Palenie wzbronione, alkoholu ani na lekarstwo, nawet rodzimych Czarów Pegeeru, nawet piwa nie znajdziesz. Przyjemnie tam wejść, bo spokojnie, bez tłoku (każdy się śpieszy, na barowych stołkach — nawet tak ładnych jak tam, siedzieć długo niewygodnie).

Ale, uprzedzam Pana, Panie Redaktorze, niech Pan przypadkiem w tym nowym barze nie skusi się na kawę. Bo ja się skusiłam. Skusiłam się, usiłowałam wypić, i — niestety, musiałam zrezygnować. Z powodu smaku oczywiście — bo zapachu żadnego nie było.

A więc proszę Pana, kiedy weszłam do baru i zachwyciłam już oczy widokiem ciast, kremów, lodów, oraz wielkiego, imponującego ekspressu włoskiego, poprosiłam o kawę. Z takiego superekspresu włoskiego — dużą kawę, oczywiście, za którą zapłaciłam siedem złotych groszy sześćdziesiąt. W Warszawie taką kawę parzy się na oczach klienta, wlewa prosto do filiżanki. A tu pod ekspresem co prawda filiżanki stały, lecz — no i jak Pan myśli, Redaktorze, skąd dostałam kawę? — Ot, z dzbanka. Nalano mi dużą kawę z dzbanka, kawę przygrzano, dano mi cukier, łyżeczkę w garść; i ja — szczęśliwa odmaszerowałam na czerwony, wysoki stołek barowy.

Panie Redaktorze, niech Pan nie pija w barze kawowym przy placu Wolności kawy. Tego opisać się nie da... jak smakuje. Po dwóch łykach wykręciło mi szczękę, taka dziwna była kawa. Odniosłam więc dziwną kawusię grzecznie tej pani, co mi ją z dzbanka nalała, i powiadam, że to chyba wczorajsze resztki z jakiegoś innego zakładu. Ale pani zaprzeczyła, nie, dzisiejsza, tylko gatunek kawy taki podły. — Więc pytam — a dlaczego z dzbanka, po co ten ekspres? A pani mi wytłumaczyła następująco: „Bo jak jest tłok, to konsument się niecierpliwi, gdy czeka, więc żeby było szybciej, dla dobra konsumenta, naparzam kawę w dzbanek, no i wtedy nikt nie czeka".

Metoda pomyślana w imię dobra konsumenta. Szlachetnie. Jednak wszyscy ci, którzy lubią kawę, woleliby zapewne poczekać parę minut, zamiast otrzymywać zimne i nieświeże popłuczyny. Tym bardziej, że płacą za kawę wcale nie najtaniej (duża: siedem złotych, sześćdziesiąt groszy).

Więc Szanowny Panie Redaktorze, niech pan przypadkiem nie skusi się na ten włoski ekspres w barku przy placu Wolności. To jest na pewno tylko dekoracja.

KŁOPOTY z MODERNIZACJĄ

Okazuje się, że w naszym przemyśle łódzkim nie wszystkie maszyny osiągają wydajność przewidywaną w projektach. Dlaczego? Przecież, jak mieliśmy możność czytać w naszej prasie, przemysł łódzki został zmodernizowany i maszyny powinny iść na całego. Na wojnie nie jest tak jak jest w żołnierskiej pieśni, w przemyśle także nie jest tak, jak podają optymiści w gazetach.

Gdyby brać pod uwagę zakłady przemysłu wełnianego — „Północ", okaże się, że 64 proc. zgrzeblarek pochodzi sprzed roku 1910, z równie stareńkich przędzarek mamy tu 70 procent i do tego połowę krosien kordowych. Swoisty rekord biją przędzalnie zgrzebne, tu 39 procent przędzarek pochodzi jeszcze z XIX wieku, tak, tak, dokładnie z roku 1898. Równie stare są także krosna dywanowe, 52,7 proc. pochodzi sprzed roku 1900. Rzecz prosta — stare maszyny nie wykonają nowych i ambitnych planów produkcyjnych.

A czy budujemy nowe? Owszem, mamy przecież przemysł budowy maszyn włókienniczych, ale ten przemysł narzeka na brak zamówień i pewnie nam z tego powodu planu pięcioletniego nie wykona jak należy. Więc jakże to w końcu jest? Żeby w naszych przędzalniach cienkich wymienić maszyny sprzed 1945 roku trzeba trzech lat, ale już w przędzalniach średnich osiem lat, a w tkalniach 16 lat! Mówimy o modernizacji, a toczy się ona jak po grudzie, mamy przemysł, wielkie potrzeby, a zamówień wcale nie jest więcej tylko mniej.

Popieramy tę akcję

W ostatnich dniach gazety łódzkie opublikowały apel Dyrekcji Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi w sprawie nadsyłania na adres Biblioteki (Łódź, ul. Matejki 34-38) rękopisów prac naukowych, utworów literackich, muzycznych (jak i maszynopisów, wzgl. fotokopii tychże), zarówno posiadających charakter historyczny, jak i współczesny, aktualny. Mogą to być także akty drukowane z odręcznymi podpisami, pamiętniki, artykuły naukowe i rozprawy naukowe, egzemplarze korektorskie i autorskie z własnoręcznymi uzupełnieniami autorów czy tłumaczy.

Jak wynika z komunikatu, ilość zbiorów tego rodzaju znajdujących się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Łodzi jest skromna. Chcąc stworzyć na terenie Łodzi placówkę skupiającą dokumentację życia kulturalnego i naukowego całego regionu łódzkiego, Biblioteka przystępuje do systematycznego zbierania rękopisów (darowizny, depozyty ew. zakup), mogących świadczyć o przejawach tego życia. Sądzimy, że apel Biblioteki znajdzie zrozumienie wśród czytelników „Odgłosów". Akcja godna poparcia.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch"— z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa", Łódź, Żwirki 17.
Zam. 2043 VI. 63. K-6

SYLWETKI AKTORÓW ŁÓDZKICH

Ludwik BENOIT

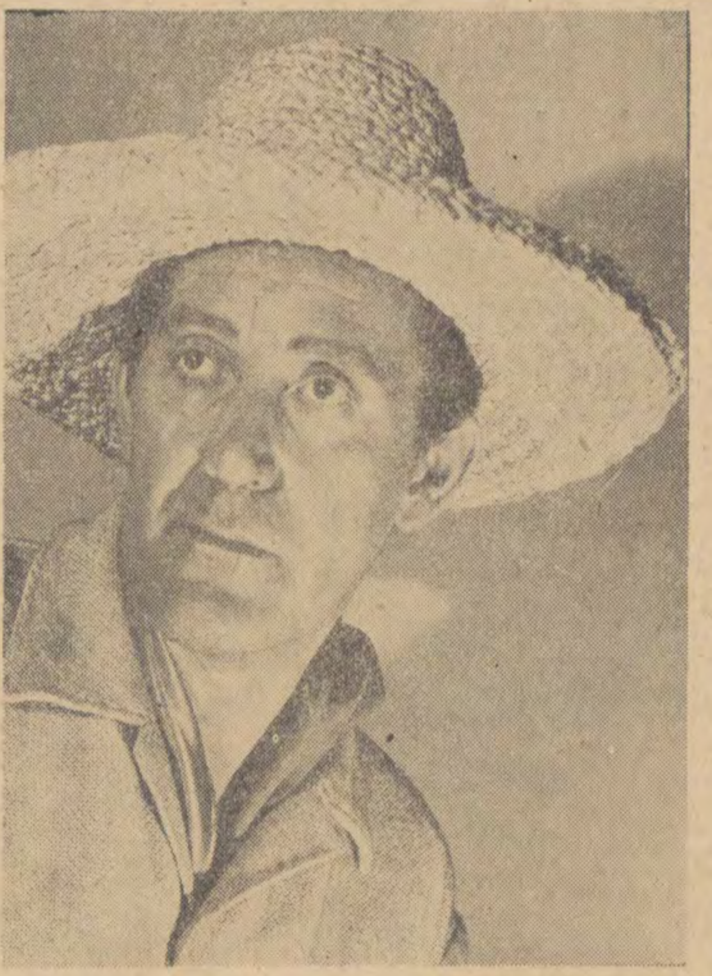

Ludwik BENOIT drogę artystyczną rozpoczął w Łodzi w Teatrze Wojska Polskiego w roku 1945. Następne etapy pracy to — Teatr Wybrzeże, Teatr Polski w Poznaniu, Teatr Polski we Wrocławiu, wreszcie Szczecin — gdzie był przez okres dwóch lat dyrektorem Teatru Polskiego. W roku 1957 powraca do Łodzi, początkowo występuje w Teatrze im. Jaracza a od roku 1959 oglądamy go na scenie Teatru Nowego. Ważniejsze role kreowane przez tego utalentowanego aktora to: Harpagon w „Skąpcu", Szadzin — w „Człowieku z karabinem", Wojewoda — w „Mazepie".

Publiczność łódzka podziwiała go jako „Henryka IV", Bena — w „Śmierci komiwojażera", Kaskę — w „Juliuszu Cezarze".

W chwili obecnej możemy oglądać Pana Bena (tak go nazywają koledzy) w rolach: Kalibana w „Burzy", i Ze-Osiołka — „Ten który dotrzymuje słowa" (patrz zdjęcie). Za rolę tę otrzymał nagrodę na tegorocznych Spotkaniach Kaliskich. Znamy go również z wielu kreacji filmowych. Najpopularniejsze jego filmy to: „Piątka z ulicy Barskiej", „Premiera Warszawska", „Ewa chce spać", „Krzyżacy" i wiele innych. Na tym nie kończy się jeszcze dorobek artystyczny Ludwika Benoit. Pozostaje telewizja, gdzie ma w swym dorobku wiele wybitnych ról zarówno w „Kobrach" jak i Teatrze Popularnym Telewizji. („Himmelkomando", „Jesienna nuda", „Wielki Bobbi", „Alkad z Zalamei"). Dalszy etap jego pracy artystycznej to reżyseria, w której również osiągnął poważne rezultaty. Przyznać musimy, że niewielu mamy aktorów o tak różnorodnej i bogatej skali artystycznej. Za swoją pracę otrzymał nagrodę państwową i Krzyż Odrodzenia Polski, oraz wielokrotne nagrody na festiwalach teatralnych.

Tekst i zdjęcie: GERARD PUCIATO

FATALNA POCZTA

Szkoda, że nikt jeszcze dotąd nie obliczył, ile czasu w swoim życiu tracimy na wystawanie w kolejkach. Podobno pół swego życia poświęcamy na sen, ileś tam lat na mycie, ileś lat na jedzenie; ktoś sobie zadał nawet trud obliczenia, ile czasu zajmuje nam czyszczenie butów, lecz nikt nie zechciał przeliczyć na miesiące, co tam miesiące! — na lata ten czas, jaki zupełnie bezproduktywnie tracimy na wyczekiwanie w kolejkach.

Są takie kolejki, których usprawnić nie można; lecz często, bardzo często człowiek stanie w ogonku i klnie w żywy kamień, widząc, jak sobie inni ludzie zza różnych „okienek" lekceważą jego czas. Oto poczta przy ulicy Moniuszki. Piękna poczta, posiadająca kilkanaście okienek. Kolejek więc być tu nie powinno. Ale są. Aby podjąć pieniądze z książeczki Pekao, aby wpłacić za radio czy telewizor trzeba tu, na tej wielkiej, nowoczesnej poczcie stracić bardzo wiele czasu nawet godzinę. Codziennie ustawia się bowiem długa kolejka do jedynego, czynnego na poczcie okienka. Niedaleko tego okienka, jest drugie, które powinno urzędować. Powinno, lecz nie urzęduje. Zastawione ładnie paprotką, nawet bez kurtuazyjnej wywieszki: NIECZYNNE. Uprzejmy pan, siedzący w innym okienku, pod wywieszką „KONTROLER. REKLAMACJE" wyjaśnia grzecznie, że brakuje pracownika. Poczta główna nie daje, dlatego tylko, to jedno okienko jest czynne. Interesanci zaś dziwią się — to po co taki wielki i piękny lokal?

Uprzedzam więc wszystkich, którzy załatwić chcą coś na tej poczcie, że najbliższa druga poczta w śródmieściu jest na Tuwima, lub na Piotrkowskiej za Nawrot.

Ludzie, niestety, muszą nadawać pieniądze, czynić wpłaty i wypłaty. Muszą i czekają w długiej kolejce do jedynego czynnego okienka poczty przy ulicy Moniuszki.

Łodzianie 1963

Dalszy ciąg ze str. 2

czy to w znacznej mierze pobudek psychologicznych, skomplikowanych mechanizmów rządzących działaniem człowieka, które nie zawsze się jest w stanie poznać. Sędzia musi opierać się na faktach. Proces ten fakty ustala. I tylko na ich podstawie może wydawać wyrok. W naszym procesie karnym obowiązuje zasada, że wszelkie wątpliwości, których z rozmaitych przyczyn nie można wyjaśnić, tłumaczy się na korzyść oskarżonego.

Nasze sądownictwo ma dwie instancje, a nie, tak jak to było przed wojną, trzy. Sądzimy w naszym wydziale sprawy zarówno w instancji pierwszej jak i drugiej. Wobec Sądu Powiatowego jesteśmy instytucją odwoławczą. Odwołania w sprawach przez nas prowadzonych w instancji pierwszej, wnosi się do Sądu Najwyższego. Największa liczba spraw wchodzących na wokandę w naszym wydziale — to sprawy o przestępstwa gospodarcze. Potem dopiero sprawy kryminalne. Interesuję się kryminalistyką i procesy kryminalne są jakby moją specjalnością. Sam najchętniej prowadzę tego typu sprawy.

Niechętnie opowiadam o procesach, które prowadziłem. W czasie trwania sprawy, każdy sędzia tak angażuje się, tyle wkłada wysiłku i pracy w należyte jego przeprowadzenie, że niechętnie wraca do tego myślą po wydaniu wyroku. Sprawy są przecież różne. Ciekawe i nieciekawe, tragiczne i humorystyczne. Trzeba się szybko od myśli o nich uwolnić, by przystąpić do nowych. Sędziowie patrzą na ludzi od najgorszych ich stron, poznają jakieś wynaturzone stosunki panujące w społeczeństwie.

Jak każdy sędzia uważam, że przepis prawny powinien ściśle określać istotę konkretnego przestępstwa. Przepisy zbyt ogólne stwarzają możliwość łamania praworządności. W starym pochodzącym z 1932 roku kodeksie, który nas dotąd obowiązuje, jest wiele takich przepisów. Myślę, że nowy projekt, po odpowiednich modyfikacjach, budzić będzie w tym względzie o wiele mniej zastrzeżeń. I będzie dobra prezentacją prawniczej myśli w Polsce".

EWA SULIBORSKA